

Conan i Skarb Tranicosa

Robert E. Howard

Conan i Skarb Tranicosa

Spis treści:

Przedmowa – L. Sprague de Camp

1. Malowani ludzie
2. Ludzie morza
3. Czarny nieznajomy
4. Rytm czarnego bębna
5. Człowiek z dziczy
6. Grabież martwych
7. Ludzie lasu
8. Miecze Aquilonii

Tropem Tranicosa – L. Sprague de Camp

Skald w Post Oaks – L. Sprague de Camp

Przedmowa – L. Sprague de Camp

Saga o Conanie tak oto opisuje jego dzieje:

Conan, syn Cymmeriańskiego kowala, urodził się na jednym z licznych pól bitewnych tej górzystej, chmurnej krainy. Jako młodzian brał udział w wypadach łupieżczych na aquiloński przyczółek graniczny – Venarium. Podczas jednej z takich wypraw, tym

Conan i Skarb Tranicosa

razem do Hyperborei dostał się, wraz z bandą Aesira do hyperborejską niewoli. Zbiegłszy z ich niewolniczej osady, powędrował na południe do Zamory i sąsiednich księstw, gdzie wiódł niepewny żywot złodzieja. Nie obeznany z cywilizacją i z natury nieposłuszny prawom, doskonale nadrabiał brak subtelności i wyrafinowania wrodzonym sprytem i herkulesową postawę, którą odziedziczył po ojcu.

W końcu zaciągnął się jako najemnik do armii króla Yildiza w Turanie. Podczas licznych podróży po stepach Hyrkanii opanował łucznictwo i jazdę konną. Później służył jeszcze jako kapitan najemników w hyboriańskich krajach, przewodził bandzie czarnoskórych korsarzy u wybrzeży Kushu, a nawet był najemnikiem w Shemie i pobliskich księstwach. Wkrótce jednak porzucił legalną służbę i wstąpił do bandy kozaków łapiącej stepy nad rzeką Zaporoską, by następnie zostać piratem na morzu Vilayet. Odbywszy w armii Khauranu służbę najemnika, spędził dwa lata przewodząc Zuagirom – pustynnym nomadom ze wschodniego Shemu. Potem przeżył jeszcze dzikie przygody w leżących na wschodzie krainach Iranistanu i Vendhii, aż zawędrował do podnóża gór Himelijskich, gdzie zmierzył się z czarnymi prorokami Yimshy.

Po powrocie na zachód, Conan znów został korsarzem łapiąc i grabiąc wraz z barachańskimi piratami i zingarskimi bukanierami. Następnie służył jako najemnik w Stygii i w Czarnych Królestwach. Później zawędrował do Aquilonii i, już jako czterdziestolatek, został zwiadowcą na granicy piktyjskiej. Gdy Piktowie, wspomagani przez czarodzieja Zogar Saga, zaatakowali umocnienia aquilońskie Conan usiłował bronić fortu Tuscelan przed zniszczeniem, niestety bezskutecznie. Jednak zdołał uratować licznych osadników zamieszkujących ziemie leżące w rozwidleniu rzek Gromowej i Czarnej. W tym właśnie momencie rozpoczyna się ta opowieść ...

Conan raptownie awansuje w armii aquilońskiej. Zostawszy generałem, pokonuje Piktów w wielkiej bitwie pod Velitrium i przełamuje siłę ich zjednoczonego uderzenia. Następnie zostaje wezwany do stolicy w Tarantii, jako triumfator. Ale jego sukces budzi podejrzenia i zazdrość zdeprawowanego i głupiego króla Numedidesa, który upija Conana usypiającym winem i zakuwa w łańcuchy w Żelaznej Wieży, z wydanym już wyrokiem śmierci. Jednakże barbarzyńca ma w Aquilonii tak wrogów,

Conan i Skarb Trancosa

jak i przyjaciół, toteż wkrótce zostaje uwolniony. Na wierzchołku i z mieczem w dłoni ucieka z więzienia. Kierując się z powrotem ku granicy, odnajduje swe bossońskie oddziały w rozsypce i dowiaduje się o nagrodzie wyznaczonej za jego głowę. Czym prędzej pokonuje wpraw rzekę Gromową i przez podmokłe lasy pustkowiec Piktów przedostaje się ku odległemu morzu.

Malowani ludzie

W jednej chwili, na pustej dotychczas polance pojawił się mężczyzna, wychylając się ostrożnie zza linii krzaków. Nie rozległ się najmniejszy dźwięk, który mogący ostrzec o jego nadejściu szare wiewiórki. Jednak jaskrawo upierzone ptaki, które przysiadły na ziemi, grzejąc się w słońcu, poderwały się natychmiast do lotu, wystraszone tym niespodziewanym pojawieniem i wypełniły przestrzeń nad drzewami furkoczącą chmurą. Mężczyzna zmarszczył brwi i zerknął za siebie, jakby lękając się, że wzburzenie ataków mogło zdradzić jego kryjówkę jakiejś niewidzialnej pogoni. Upewniwszy się, jął skradać się po polanie, stawiając ostrożnie każdy krok.

Mimo swej niezwykle masywnej budowy, poruszał się z giętką zręcznością lamparta. Jego nagie ciało okrywał jedynie skrawek materiału przewiązany wokół lędźwi. Kończyny usmarowane gęsto zaschniętym błotem nosiły ślady zadrapań cierniami. Bandaż opasywał brunatną plamę na muskularnym, lewym ramieniu. Skryta pod splątaną grzywą czarnych włosów twarz, była ściągnięta i wychudzona, a jego oczy płonęły jak ślepiec rannego wilka. Utykał lekko, podążając wzdłuż ledwie widocznej ścieżki, która wiodła przez polanę.

W połowie drogi zamarł nagle i odwrócił się, z kocią zręcznością, gdy od strony, z której przyszedł dobiegło go z lasu przeciągłe wycie. Każdy człowiek pomyślałby, że to zaledwie głodny wilk, ale ten mężczyzna wiedział, że to coś innego. Jako Cymmerianin rozpoznawał odgłosy dziczy tak, jak mieszczanin rozpoznaje głosy swych przyjaciół.

Conan i Skarb Trancosa

Gniew zapłonął czerwienią w jego przekrwionych oczach, gdy ponownie odwrócił się i prędko ruszył ścieżką przez polanę. Prowadziła ona ku gęstym krzakom, stłoczonym na krawędzi lasu w postaci ściany zielonych liści i gałęzi. Masywna kłoda, głęboko wrosnięta w omszałe podłoże, odgradzała brzeg gęstwiny od ścieżki. Gdy Cymmerianin zauważył ten wielki bal, zatrzymał się i spojrzął za siebie na polanę. Niewprawny obserwator nie poznałby, czy ktoś tamtędy przechodził, ale jego prześladowcy dysponowali równie ostrym, jak on, wytrenowanym w dziczy wzrokiem. Toteż, jeżeli sam dostrzegał dowody swej obecności na polanie, podążający w pościgu niewątpliwie też je zauważą. Warknął cicho, niczym bestia zapędzona w pułapkę.

Z zamierzoną nieostrożnością podążył wzdłuż ścieżki, tu i ówdzie deptając trawę i łamiąc gałązkę. Gdy, dotarł do drugiego końca obalonej kłody, wskoczył na nią, obrócił się i zręcznie pobiegł po niej z powrotem. Jako, że kora dawno już odpadła pod działaniem pogody i robactwa, nie pozostawił najmniejszego śladu, który mogłyby dostrzec bystre oczy tropiciela. Gdy dotarł do najciemniejszej części krzaczastej gęstwiny, ukrył się w niej, nie poruszając ani jednego listka, który zdradzałby jego kryjówkę.

Mijały minuty. Szare wiewiórki znów się odezwały, by nagle, wtulone czujnie w konary drzew, zamilknąć. Ponownie został zakłócony spokój polany. Równie cicho, jak ścigany mężczyzna, od wschodu pojawili się trzej czarnoskórzy ludzie krępej budowy, o muskularnych ramionach i klatkach piersiowych. Odziani byli w przepaski biodrowe ze skóry jelenia. Czarne włosy upięte mieli w węzły ozdobione orlim piórem. Ich ciała były pomalowane od stóp do głów w misterne wzory. W dłoniach dzierżyli prymitywny oręż z kutego brązu.

Ostrożnie rozejrzeli się po polanie, zanim ukazali się na otwartej przestrzeni, wychodząc pełni wahania z ukrycia. Kroczyli miękko jak lamparty, w ścisłym szyku, z uwagą obserwując ziemię pod stopami. Tropili Cymmerianina, a to niełatwe zadanie nawet dla tych ogarów w ludzkiej skórze. Poruszali się wolno po polanie, gdy nagle jeden z nich zeszywniał, mruknął i wskazał swą włócznią o szerokim, płaskim ostrzu na świeżo zdeptaną trawę tam, gdzie ścieżka biegła z powrotem w las. Wszyscy zamarli natychmiast, a ich jak czarne koraliki oczy, świdrowały podejrzliwie ścianę

Conan i Skarb Tranicosa

lasu. Jednak zwierzyna była doskonale ukryta. Nie dojrzawszy nic, co mogło wzbudzić podejrzenia, ruszyli, tym razem szybciej, w stronę drzew. Podążali ledwie widocznym śladem, który sugerował, że uciekinier staje się nieostrożny ze zmęczenia lub desperacji.

Ledwie zdołali minąć miejsce, gdzie krzaczasta gęstwina rosła najbliżej ścieżki, gdy tuż za nimi wyskoczył Cymmerianin, dobywając broni, zza pasa. W lewej ręce dzierżył długi nóż o brązowym ostrzu, a w prawej topór z tego samego metalu. Atak nadszedł tak szybko i niespodziewanie, że ostatni Pikt nie miał najmniejszej szansy na ocalenie życia, gdy Cymmerianin wbił mu nóż głęboko między łopatki. Ostrze doszło serca, zanim czarnoskóry zorientował się w niebezpieczeństwie.

Pozostali dwaj odwrócili się z niewiarygodną szybkością dzikusów, ale nawet to nie pomogło, Cymmerianin, wrywając nóż z grzbietu pierwszej ofiary, uderzył z potężnym impetem swym bojowym toporem. Drugi Pikt właśnie się odwracał, gdy na jego głowę spadło mordercze ostrze, rozłupując mu czaszkę aż do szczęki.

Pozostały przy życiu dzikus, sądząc po szkarłatnym czubku jego orlego pióra wódz, rzucił się do ataku. Już niemal sięgał włócznią piersi Cymmerianina, gdy ten jeszcze wrywał topór z głowy zabitego wroga. Cymmerianin jednak górował inteligencją i uzbrojeniem. Topór w szerokim bocznym uderzeniu, odbił włócznię ku górze podczas, gdy lewa ręka barbarzyńcy, uzbrojona w nóż, wystrzeliła ku malowanemu brzuchowi Pikta, rozcinając go na całej długości.

Ranny wydał z siebie przeraźliwe wycie, gdy upadł wybebeszony na ziemię. Ryk zawiedzionej zwierzęcej furii rozdarł powietrze, a ze wschodu nadeszła dzika odpowiedź wyjących głosów. Cymmerianin wyprężył się konwulsyjnie, a następnie skulił, jak dzikie zwierze szykujące się do skoku. Jego wargi wykrzywił morderczy grymas, gdy potrząsnął głową strząsając krople potu z twarzy. Spod bandaża pociekła po ramieniu strużka krwi.

Wypluwając niezrozumiałe przekleństwo, odwrócił się i pobiegł na zachód. Już nie wybierał drogi, tylko biegł co sił w długich nogach, dzięki wielkiej wytrzymałości, którą natura zrekompensowała mu barbarzyńskie pochodzenie. Głosy za nim na chwilę zamilkły. Wtem, demoniczne wycie wybuchło ponownie. Wiedział już, że pogoń

Conan i Skarb Tranicosa

odnalazła ciała jego ofiar. Nie starczało mu tchu, by przekląć krople krwi kapiące na ziemię ze świeżo otwartej rany i zostawiające wyraźny ślad na drodze. Miał nadzieję, że może ci trzej Piktowie, to wszystko, co pozostało z drużyny wojennej, która podążała za nim już od ponad stu mil. Powinien był się spodziewać, że te wilki nigdy nie porzucą tropu znaczonego posoką.

Las znów zamilkł. To mogło znaczyć jedynie, że pędzą za nim, po plamach krwi na ziemi, których nie zdołał zatrzeć. Zachodni wiatr, pełen słonawej wilgoci wiał mu prosto w twarz. Uśmiechnął się w duchu. Jeśli był już tak blisko morza, to pościg musiał ciągnąć się znacznie dłużej, niż sądził.

Ale teraz to nie miało znaczenia, było już prawie po wszystkim. Nawet jego wilcza odporność poddawała się przerażającemu obciążeniu. Gdy łączywie łykał powietrze, w boku odzywał się kłujący ból. Nogi drżały z wyczerpania, szczególnie ta raniona. Miał wrażenie, jakby ktoś wbijał mu nóż w ścięgna, za każdym razem, gdy stawiał stopę. Postępował zgodnie z wykształconym w dziczy instynktem, wysilając każdy mięsień i nerw. Aby przetrwać sięgnął do najgłębszych rezerw swej wytrzymałości. Lecz teraz, doprowadzony do ostateczności, poddał się innemu instynktowi – szukał miejsca, gdzie mógłby stawić czoła wrogom i sprzedać swe życie za krwawą cenę.

Nie zszedł ze szlaku, by ukryć się w którejś z gęstwin porastających z obu stron ścieżkę. Na tym etapie próba zmylenia pościgu byłaby bezcelowa. Biegł zatem wzdłuż drogi, a krew huczała mu w uszach coraz głośniejsze i głośniejsze, gdy z każdym oddechem wydawał z siebie ciężkie rżenie. Z tyłu dosłyszał szalone wycie – znak, że deptali mu już po piętach i spodziewali się dopaść wkrótce swą zdobycz. Pędzili teraz za nim jak wataha wygłodniałych wilków, skowycząc przy każdym skoku.

Nagle wypadł z gęstego lasu i ujrzał przed sobą ścianę stromego klifu, który wznosił się niemalże pionowo. Szybkie spojrzenia na boki upewniły go, że oto stał przed samotną skałą, która wyrastała pod niebo, niczym wieżyca w samym środku lasu. Jako chłopiec nieraz wspinał się na strome wzgórza w swej ojczyźnie. Wiedział, że mógłby spróbować podejścia na tę stromiznę, będąc w doskonałej kondycji, ale nie

Conan i Skarb Tranicosa

miałby żadnych szans ranny i osłabiony tak, jak teraz. Zanim by przebrnął dwadzieścia lub trzydzieści stóp, Piktowie wypadliby z lasu i nafaszerowali go strzałami.

Może jednak inne ściany tej skały nadawałyby się bardziej do wspinaczki. Szlak zawijał w prawo dookoła turni. Podążając za nim odkrył, że zachodnia strona skały bogata była w półki i poszarpane występy prowadzące aż do szerokiej platformy tuż pod szczytem.

Ta półka wydawała się równie dobrym miejscem na śmierć, jak każde inne. Zostawiając świat pod nogami wirujący w krwawej mgle, pokuśtykał w górę szlaku, podpierając się kolanami i rękami, trzymając zaciśniętym między zębami nóż.

Nie zdążył jeszcze dotrzeć do wystającej półki skalnej, gdy jakiś czterdziestu pomalowanych dzikusów wybiegło zza przeciwnej ściany turni, wyjąc jak oszalali. Na widok ofiary ich wrzaski osiągnęły diabelskie crescendo. Puścili się pędem w kierunku skały zasypując ją strzałami. Groty ze zgrzytem odbijały się od kamieni wkoło wspinającego się mężczyzny, gdy jeden z nich ugodził go w łydkę. Nie zatrzymując się, wyrwał strzałę i odrzucił na bok, nie zwracając uwagi na mniej celne pociski rozbijające się dookoła. Przerzucił się raptownie nad występem półki i przetoczył szybko na bok. Dobył topora, a nóż ścisnął mocno w dłoni. Leżał teraz obserwując Piktów na dole, wystawiając jedynie swe czarne włosy i płonące oczy poza krawędź półki. Jego klatka piersiowa drżała konwulsyjnie, gdy ciężko połykał hausty powietrza i zaciskał kurczowo szczęki, by odpędzić odruch wymiotny.

Jeszcze tylko kilka strzał śmignęło w jego stronę. Horda łowców wiedziała, że zwierzyna została schwytana w pułapkę. Wojownicy nadbiegli wyjąc. Zbrojni w topory bojowe zrećźnie wskakiwali na skałki u podnóża turni. Pierwszym, który dotarł do pionowej ściany był muskularny śmiałek. Jego orle pióro było ubarwione szkarłatem, jako znak wodza. Zatrzymał się na chwilę i postawiwszy jedną stopę na pnącym się ku górze się szlaku, nałożył strzałę, odciągając cięciwę do połowy. Rozchylił usta i odchylił głowę, szykując się do triumfalnego okrzyku. Ale strzała nigdy nie opuściła łuku. Wojownik zamarł w bezruchu, a żądza krwi w jego oczach ustąpiła miejsca wyrazowi zaskoczenia. Z głośnym okrzykiem cofnął się i rozłożył szeroko ramiona, by powstrzymać nadbiegających współplemieńców. Mimo, że mężczyzna znajdujący się

Conan i Skarb Tranicosa

nad nimi na skalnej półce rozumiał piktyjskie narzeczce, był zbyt wysoko, by dosłyszeć wykrzyczane w rytmie staccato komendy wodza.

Wszyscy zaprzestali wrzasków i stanęli, niemo gapiąc się w górę. Nie na swą niedoszłą ofiarę, jak wydawało się ukrytemu mężczyźnie, ale na całą skałę. Wtem, bez dalszego wahania, zdjęli strzały i schowali łuki do przypiętych u pasa kołczanów, po czym odwrócili się i odeszli szlakiem, którym niedawno nadbiegli, by zniknąć za załomem klifu bez oglądania się za siebie.

Cymmerianin nie dowierzał własnym oczom. Znał naturę Piktów zbyt dobrze, by zdawać sobie sprawę z tego, iż ich odejście było ostateczne. Wiedział, że oni już nie wrócą. Teraz kierowali się do swych wiosek odległych o setki mil na wschód.

Nie mógł tego pojąć. Co szczególnego było w jego kryjówce, że zmusiło piktyjską wyprawę wojenną do porzucenia pościgu, który kontynuowali tak długo z pasją głodujących wilków? Owszem, wiedział, że istniały święte miejsca, pozostawiane w spokoju przez poszczególne klany. Służyły one za azyl dla zbiegów, którzy mogli w nich znaleźć schronienie przed zemstą danego klanu. Jednakże różne plemiona rzadko respektowały święte terytoria innych, a klan, który go ścigał z pewnością nie posiadał takich miejsc w tej okolicy. Byli to ludzie Orły, których wioski znajdowały się daleko na wschód, sąsiadując z ziemiami ludzi Wilków.

To właśnie Wilki schwytały Cymmerianina, gdy przedzierał się przez dzicz po ucieczce z Aquilonii i to właśnie oni oddali go Orłom w zamian za własnego wodza. Orły miały z nim krwawe zatargi, które stały się jeszcze bardziej zaciekle, gdy jego ucieczka spowodowała śmierć jednego z ważniejszych wodzów. Dlatego właśnie ścigali go tak niestrudzenie, przez rwące rzeki, poszarpane wzgórza i ponure lasy – terytoria łowne wrogich im plemion. A teraz ocalali z tej pogoni łowcy zawrócili, gdy ich zwierzyna padła wreszcie wyczerpana na ziemię. Potrzęsnał głową, nie mogąc tego pojąć.

Podniósł się ostrożnie, oszołomiony napięciem ostatnich chwil i z trudem uwierzył, że już po wszystkim. Jego kończyny były odrętwiałe, a rany odezwały się falą bólu. Splunął sucho i zaklął, przecierając przekrwione oczy wierzchem grubego nadgarstka. Zamrugnął i rozejrzał się po okolicy. Pod nim zielona głusza rozciągała się

Conan i Skarb Tranicosa

jak dywan, daleko, daleko, aż po horyzont na wschodzie, a na zachodzie kończyła się stalowoniebieskim blaskiem, który z pewnością był oceanem. Wiatr rozwiął jego czarną grzywę, a słonawe, rześkie powietrze szybko go ożywiło. Przeciągnął się szeroko, potężną piersią wciągając podmuch bryzy.

Po chwili obrócił się sztywno i walcząc z bólem przebijającym mu łydkę, obejrzał występ skalny, na którym znalazł schronienie. Wprost za nim wznosił się stromy, skalisty klif, sięgający aż do zwieńczenia turni, jakieś trzydzieści stóp nad nim. Wąskie, podobne do schodków wgłębienia zostały wyżłobione w ścianie przez nieznanego twórcę, a kilka stóp powyżej otwierała się nisza, wystarczająco szeroka i wysoka, by pomieścić dorosłego mężczyznę.

Podkuśtykał do wgłębienia, zajrzał do środka i mruknął. Zawieszona wysoko nad lasem słońce rzucało smugę światła wprost do niszy, ukazując jaskinię w kształcie tunelu, zakończoną łukowym sklepieniem. A pod łukiem, w pełnym oświetleniu, widoczne były ciężkie, okute żelazem, dębowe wrota!

To zdumiewające. Kraina ta była wszak głuchą dziczą. Cymmerianin wiedział, że przez tysiące mil, na zachodnim wybrzeżu ciągnęły się jałowe i niezamieszkałe ziemie, jeśli nie liczyć kilku wiosek wojowniczych plemion nadmorskich chyba jeszcze mniej cywilizowanych, niż ich leśni bracia.

Najbliższymi przyczółkami cywilizacji były znajdujące się setki mil na wschód forty pograniczne nad brzegiem rzeki Gromowej. Cymmerianin zdawał sobie sprawę, że był jedynym białym człowiekiem, który zdołał przedrzeć się tak daleko przez dzicz rozciągającą się pomiędzy rzeką, a zachodnim wybrzeżem. Niemniej jednak te drzwi nie wyglądały na dzieło Piktów.

Jako niezrozumiałego pochodzenia obiekt, budziły zatem u niego uzasadnione podejrzenia. Podchodził ostrożnie, trzymając nóż i topór w pogotowiu. Wtem, gdy jego oczy przyzwyczały się już do panującego mroku, dostrzegł coś jeszcze. Tunel rozszerzał się zanim zdążył dotrzeć do wrót, a pod ścianami leżały zwalone masywne, okute żelazem skrzynie. Błysk zrozumienia pojawił się w jego oczach. Schylił się nad jednym z kufków, próbując uchylić wieko, ale bez powodzenia. Już podnosił topór, by roztrzaskać starożytny zamek, gdy nagle zmienił zdanie i podszedł kulejąc ku łukowato

Conan i Skarb Tranicosa

sklepionym drzwiom. Czuł się nieco pewniej, toteż zawiesił oręż u pasa. Pchnął bogato zdobione wrota, które uchyliły się nie stawiając oporu.

Wtem, z szybkością błyskawicy ponownie zmienił postawę. Cofnął się, tłumiąc przekleństwo, a topór i nóż błysnęły w pozycji obronnej. Przez chwilę stał tak, niczym okrutna, groźna statua, wyciągając swą umięśnioną szyję, by spojrzeć przez wrota.

Patrzył na długą grootę, ciemniejszą, niż korytarz za nim, ale ponuro oświetloną przyćmionym blaskiem, który pochodził od olbrzymiego klejnotu, ustawionego na piedestale z kości słoniowej w samym środku wielkiego, hebanowego stołu. Wokół niego siedziały jakieś milczące kształty, których obecność tak sparaliżowała Cymmerianina.

Nie poruszyli się, ani nawet nie obrócili ku niemu głów, jedynie niebieskawa mgła zawieszona pod sufitem jaskini wydawała się poruszać jak żywa istota.

– No, – zaczął ostro – czyście wszyscy pijani?

Odpowiedź nie nadeszła. Zwykle trudno go było zbić z tropu, ale teraz poczuł się nieswojo.

– Mógłbyś mnie chociaż poczęstować kubkiem tego wina, które żłopiesz! – ryknął Conan, gdy niezręczność sytuacji pobudziła jego wrodzona wojowniczość. – Na Croma, nie okazujesz wiele przekłetej uprzejmości człowiekowi, który był jednym z waszego bractwa. Czy zamierzasz tak ...

Zamilkł nagle, gapiąc się przez chwilę na te dziwaczne postacie siedzące w ciszy przy potężnym, hebanowym stole.

– Oni nie są pijani, – zamamrotał spostrzegawczo – oni nawet nie piją. Cóż to za diabelskie gierki?!

Gdy tylko przestąpił próg, unosząca się w powietrzu błękitna mgła zaczęła poruszać się szybciej. Chmura zbiła się i zgęstniała tak, że nagle Conan zorientował się, iż walczy na śmierć i życie z olbrzymimi, czarnymi dłońmi, które wyciągnęły się do jego gardła ...

Ludzie Morza

Conan i Skarb Tranicosa

Belesa leniwie szturchała morską muszelkę swą kształtną stópką, w myślach porównując jej delikatne, różowe krawędzie do pierwszego odcienia słońca, wschodzącego nad zamgloną plażą. Świt dawno już minął, ale wczesne promienie nie zdołały jeszcze całkowicie rozświetlić lekkich, perłowych chmurek dryfujących nad wodami ku zachodowi.

Uniosła swą cudnie ukształtowaną głowę i patrzyła na obcą jej i odpychającą scenerię, choć tak, złowrogo znajomą w każdym szczególe. Spod jej maleńkich stóp, złotawe piaski ciągnęły się ku miękko rozkołysanym falom, sięgającym daleko na zachód, aż po odległy, błękitny horyzont. Stała w południowym zakolu szerokiej zatoki, a ląd za nią wznosił się ku niskiemu grzbietowi, formującemu jeden z łuków zatoczki. Wiedziała, że z tego wzgórza można było patrzeć na południe tak daleko, jak tylko sięgał wzrok, poprzez nagie wody, ku nieskończoności.

Zerkając niechętnie w głąb lądu, nieobecny wzrokiem obiegła fortecę, która była jej domem przez ostatnie półtora roku. Na tle perłowo błękitnego nieba łopotąła złoto szkarłatna flaga. Jednakże czerwony sokół na złotym tle nie wzbudzał entuzjazmu w jej młodej piersi, choć gościł na wielu krwawych bitwach daleko na południu.

Rozróżniała kształty ludzi pracujących w ogrodach i na polach wokół fortu, który wydawał się kurczyć na tle ponurej ściany gęstego lasu rozciągającego się z południa na północ dalej, niż zdołała dojrzeć. Lękała się tego lasu, a strach ten dzielił każdy mieszkaniec małej twierdzy. Nie była to jednak pusta obawa. W szumiącej głębi lasów czyhała śmierć – błyskawiczna i niespodziewana, powolna i ohydna – skryta, malowana, niezmordowana i nieustępliwa śmierć.

Westchnęła i zbliżyła się bez żadnego celu do linii wody. Wszystkie ciągnące się dni miały taki sam kolor, a świat barwnych dworów i miast wydawał się odległy o tysiące mil i całe wieki. Kolejny raz bezskutecznie próbowała znaleźć powód, który zmusił hrabiego Zingary do ucieczki wraz ze swymi podwładnymi na to dzikie wybrzeże, setki mil od ojczystej krainy i do zamiany zamku przodków na drewnianą chatę.

Conan i Skarb Tranicosa

Oczy Belesy złagodniały, gdy usłyszała lekkie stąpanie małych, bosych stóp po piasku. Młoda dziewczyna zbliżała się do niej, biegnąc po piaszczystych wydmach. Była naga i ociekająca wodą, a jej mokre, płowe włosy przywarły gładko do zgrabnej główki. Figlarne oczy rozszerzyły się z podekscytowania.

– Lady Beleso! – wykrzyknęła, wypowiadając zingarskie słowa z miękkim, ophirskim akcentem. – Och, lady Beleso!

Z trudem łapiąc oddech po szybkim biegu, dziewczyna jąkała się i gestykulowała żywo. Belesa uśmiechnęła się i objęła ją, nie zważając na to, iż jedwabna suknia zetknęła się z wilgotnym, rozgrzanym ciałem. W swym samotnym, wyizolowanym życiu Belesa przenosiła wrodzoną czułość na tę biedną sierotkę, którą odebrała brutalnemu panu podczas długiej drogi z południowych wybrzeży.

– Co się stało, Tina? Uspokój się, złap oddech, dziecko.

– Statek! – krzyknęła dziewczyna, pokazując na południe. – Pływałam sobie w sadzawce, którą zostawił po sobie ostatni przypyływ, po drugiej stronie wzgórza i wtedy go zobaczyłam! Statek płynący z południa!

Schwyciła Belesę za rękę i ciągnęła przestraszona, a smukłym ciałem wstrząsały lekkie dreszcze. Belesa poczuła, jak jej serce przyspiesza na samą myśl o nieznanym przybyszu. Odkąd znalazły się na tym jałowym brzegu nie widziały jeszcze ani pół żagla.

Tina pobiegła przodem po żółtym piasku, rozpryskując wodę z małych kałuży, które utworzył na plaży przypyływ. Wspięły się na niski, falisty grzbiet. Zatrzymała się na szczycie, niczym drobna, biała figurka o płowych włosach falujących wokół twarzy i wyciągnęła delikatne ramię w stronę błękitnej przestrzeni nieba i morza.

– Spójrz, pani!

Belesa zdążyła już to dostrzec. Wzdłuż wybrzeża, zaledwie kilka mil stąd, przesuwiał się łopoczący biały żagiel, pełen rzeńskiego wiatru z południa. Poczuła, jak na jedno krótkie uderzenie zamiera jej serce. Ten mały stateczek w bezkresie morza mógłby wnieść wiele urozmaicenia do ich bezbarwnego, monotonnego życia, ale Belesa przeczuwała raczej dziwne i okrutne wydarzenia. Była niemal pewna, że statek nie znalazł się przypadkiem na tym odludnym wybrzeżu. Na północy, aż do samych

Conan i Skarb Tranicosa

wybrzeży lodu, nie było już żadnego miasta portowego, a najbliższy port na południe znajdował się blisko tysiąc mil stąd. Cóż mogło sprowadzić tego nieznanego do samotnej zatoki Korwela, jak nazwał ją jej wuj zaraz po wylądowaniu?

Tina przytuliła się mocno do swej pani, a strach malował się wyraźnie na jej drobnej twarzy.

– Któż to może być, pani? – wyjąkała, odwracając zaróżowione wiatrem policzki. – Czy to człowiek, którego lęka się hrabia?

Belesa spojrzała na nią, zmarszczywszy brwi.

– Czemu to powiedziałaś, dziecko? Skąd wiesz, że mój wuj kogokolwiek się lęka?

– Musi, – odrzekła Tina naiwnie – inaczej nigdy nie przypląnąłby do tej samotni, by się ukrywać. Spójrz pani, jak szybko płynie!

– Musimy iść i powiedzieć o tym memu wujowi – wymamrotała Belesa. – Łodzie rybaków jeszcze nie wypłynęły, więc nikt prócz nas nie widział żagla. Zbieraj swoje rzeczy, Tina. Szybko!

Dziewczyna podbiegła szybko w dół zbocza do sadzawki, w której się kąpała. Złapała sandały, tunikę i pas pozostawione w nieładzie na piasku. Prędko ruszyła z powrotem, ubierając się w biegu.

Belesa, niespokojnie obserwując zbliżający się żagiel, chwyciła ją za rękę i obie popędziły w stronę fortu. Kilka chwil po tym, jak wbiegły przez bramę w palisadzie okalającej twierdzę, przeraźliwy dźwięk trąbki alarmowej oderwał ludzi od zajęć w ogrodzie i w dokach. Zaczynali już spychać swe kutry na wodę.

Wszyscy mężczyźni znajdujący się na zewnątrz fortu porzucili swe narzędzia i natychmiast zapominając o pracy puścili się biegiem ku warowni, bez dociekania przyczyny alarmu. Gdy gromada uciekających ludzi zbliżała się do otwartej bramy, każdy obracał się przez ramię głową w stronę ciemnej linii lasu na wschodzie. Nikt nie patrzył namorze.

Wciskali się przez wrota, wykrzykując pytania ku strażnikom patrolującym wały u szczytu szpiczastych pali formujących palisadę.

– Co się dzieje? Czemu nas wezwano? Czy Piktowie nadchodzą?

Conan i Skarb Tranicosa

Zamiast odpowiedzi, jeden z milczących żołnierzy w wytartej skórze i rdzewiejącej kolczudze wskazał na południe. Z tego miejsca żagiel był widoczny nawet dla tych, którzy wspięli się na wały i gapili prosto w morze.

W małej wieżyczce na dachu pałacu zbudowanego z bali drewna, podobnie jak reszta budynków znajdujących się w forcie, hrabia Valenso Korzetta obserwował, jak zbliżający się statek okrąża południowy cypel zatoki. Księżę był szczupłym, żyłastym mężczyzną średniego wzrostu, w późno, średnim wieku, o ciemnej karnacji i ponurym wejrzeniu. Ubierał się w czarne, jedwabne bryczesy i takiż dublet, a jedynym kolorowym dodatkiem do stroju były błyskające kamienie, które zdobiły rękojeść jego miecza oraz płaszcz o barwie czerwonego wina, zarzucony niedbale na ramiona. Nerwowo podkreślił swe cienkie, czarne wąsy i zwrócił ponury wzrok na swego senezala, człowieka odzianego w skórę, stal i satynę.

– No, co o tym sądzisz, Galbro?

– To karraka, panie. – odparł zarządca – Karraka, otaklowana i ożaglowana, jak okręt barachańskich piratów. Patrz tam!

Pod nimi odezwał się chór przerażonych krzyków. Statek obrócił się przodem i płynął teraz prosto ku zatoce. Wszyscy dostrzegli flagę, która stała się nagle widoczna na szczycie grotmasztu. Czarną flagę z wizerunkiem szkarłatnej dłoni. Ludzie schronieni w warowni patrzyli z przerażeniem na ten złowrogi emblemat. Po chwili, wszystkie oczy odwróciły się ku wieży, gdzie stał, patrząc posepnie, pan tego fortu, w łopoczącym na wietrze płaszczu.

– To Barachańczyk, – mruknął Galbro – i jeśli jeszcze nie oszalałem, to musi być Strombanni Szkarłatna Dłoń. Co on tu robi, na takim pustkowiu?

– Co by nie zamierzał, nic to dla nas dobrego. – warknął hrabia. Zerknął w dół i upewnił się, że bramy zostały zamknięte, a kapitan jego straży, błyskając zbroją dowodził swymi ludźmi wysyłając ich na posterunki – jednych na wały, innych na niżej położone stanowiska strzelnicze. Skupiał swe główne siły na zachodniej ścianie, w której była brama.

Conan i Skarb Tranicosa

Stu ludzi – żołnierze, wasale i chłopci – z całymi rodzinami podążyło za Valenso na wygnanie. Jakiś czterdziestu z nich było żołnierzami zbrojnymi w hełmy i kolczugi oraz w miecze, topory i kusze. Reszta to robotnicy, odziani jedynie w twardą skórę, ale silni i zahartowani, obeznani ze swymi myśliwskimi łukami, siekierami drwali i włóczyniami na dziki. Zajęli miejsca łypiąc groźnie na swych odwiecznych wrogów. Już ponad wiek minął odkąd piraci z wysp Baracha – małego archipelagu na południowy zachód od Zingary – po raz pierwszy wypuścili się na wyprawę łupieżczą w głąb lądu.

Ludzie za palisadą chwycili swe łuki lub włócznie i ponuro obserwowali karrakę zbliżającą się do ich brzegu i błyskającą w słońcu mosiężnymi okuciami. Mogli już dojrzeć małe figurki krzątające się na pokładzie i usłyszeć sprośne okrzyki piratów. Za relingiem zamigotała stal.

Księżę zszedł z wieży, przeganiając z drogi swą siostrzenicę i jej podeksycytowaną protegowaną. Przywdziawszy hełm i napierśnik, ruszył ku palisadzie, by dowodzić obroną. Poddani patrzyli na niego w poczuciu bezsilności i klęski. Zamierzali sprzedać swe życia tak drogo, jak tylko zdołają. Mieli małe nadzieje na zwycięstwo, mimo swych wzmocnionych pozycji. Byli obsesyjnie przekonani o czekającej ich zagładzie. Ponad roczny pobyt na tej zapomnianej przez bogów ziemi i życie w ciągłym zagrożeniu ze strony nawiedzonego przez demony lasu rzuciło cień pesymizmu i beznadziei na ich dusze. Kobiety stały milcząc u wejść do chat i uciszały hałasujące dzieci.

Belesa i Tina wyglądały z zaciekawieniem z wysokiego okna pałacu. Belesa czuła, jak delikatne ciało dziewczyny drży z napięcia, wtulając się mocno w jej ramię.

– Zarzuć kotwicę niedaleko doków. – wymamrotała Belesa – Tak! Kotwicą, chyba ze sto jardów od brzegu. Nie dygocz tak, dziecko! Nie wezmą wszak fortu. Może przybyli jedynie po świeżą wodę i zapasy, a może jakiś sztorm rzucił ich na te morza.

– Płyną do brzegu łodzią! – powiedziała dziewczyna – Och, boję się, moja pani! To potężni mężczyźni w zbrojach! Spójrz, jak słońce odbija się od ich włóchni i hełmów! Czy oni nas zjedzą?

Belesa wybuchła śmiechem, choć w duchu odczuwała niemniejszy strach.

Conan i Skarb Tranicosa

– Oczywiście, że nie! Kto ci naopowiadał takich bzdur?

– Zingelito powiedział, że Barachańczycy jedzą kobiety.

– Drażnił się z tobą. Barachańczycy są okrutni, ale nie ustępują w niczym zingarskim renegatom, którzy nazywają się bukanierami. Zingelito sam był kiedyś bukanierem.

– On był okrutny. – wymamrotała dziewczyna – Cieszę się, że Piktowie ucięli mu głowę.

– Cicho, Tina! – Belesa wzdrygnęła się lekko. – Nie wolno ci tak mówić. Patrz, piraci dopłynęli do brzegu. Wychodzą na plażę, a jeden z nich zbliża się do fortu. To pewnie jest Strombanni.

– Ahoj, tam w forcie! – rozległ się okrzyk, gwałtowny, jak morski wiatr. – Przychodzę w pokoju!

Zza szpikulców palisady wychyliła się ukryta pod hełmem głowa hrabiego. Jego surowa twarz, otoczona stalą, posepnie zmierzyła pirata. Strombanni zatrzymał się w zasięgu głosu. Był to wielki mężczyzna z odkrytą głową porośniętą włosami o brązowo złotawym odcieniu, jaki czasem spotkać można było w Argos. Spośród wszystkich morskich łupieżców, którzy nękali barachańskie morza, żaden nie był bardziej znany ze swej diabelskiej natury, niż ten.

– Mów! – nakazał Valenso – Niewiele mam chęci, by dyskutować z kimkolwiek o pochodzeniu podobnym do twego.

Strombanni zaśmiał się, ale jego oczy pozostały stalowe.

– Gdy twój galeon umknął mi w tym szkwale nie opodał Trallibes w zeszłym roku, sądziłem, że nigdy cię już nie spotkam na piktyjskim brzegu, Valenso! – odparł.

– Zachodziłem wtedy w głowę, gdzie też mogłeś się udać. Na Mitrę, gdybym tylko wiedział, podążyłbym za tobą! Niemal wyskoczyłem ze skóry widząc twego szkarłatnego sokoła łopoczącego nad fortecą, gdzie nie spodziewałem się ujrzeć nic poza nagim piaskiem. Znalazłeś to, prawda?

– Znalazłem co? – rzucił niecierpliwie hrabia.

Conan i Skarb Tranicosa

– Nie próbuj mnie zwodzić! – odkrzyknął pirat niecierpliwie, ukazując swą impulsywną naturę. – Wiem czemuś tu przyplłynął, a ja przybyłem tu z tego samego powodu. Nie pozwolę się spławić. Gdzie twój okręt?

– To nie twoja sprawa.

– Ach, więc nie masz go. – stwierdził pewny siebie pirat. – Widzę, kawałki masztów w tej palisadzie. Statek musiał się rozbić, kiedy lądowaliście. Wszak, gdybyś miał statek, odpłynąłbyś z łupem już dawno temu.

– Zaraza, o czym ty gadasz? – wykrzyknął hrabia. – Z łupem? Czy wyglądam na Barachańczyka, by palić i grabić? Nawet jeśli, to co za łup znalazłbym na tym pustkowiu?

– Ten, po któryś tu przyplłynął. – odparł zimno pirat. – Ten sam, którego ja pragnę i zamierzam pojąć. Ale nie sprawię ci wiele kłopotu. Po prostu daj mi łup, a odejdę swoją drogą i zostawię was w spokoju.

– Tyś chyba oszalał! – warknął Valenso. – Przybyłem tu, by znaleźć samotność i odosobnienie, którymi cieszyłem się dopóki ty nie wypełzłeś z morza, żółtogłowy psie. Odejdź! Nie prosiłem o negocjacje, a ta pusta rozmowa już mnie męczy. Zabieraj swoich zbirów i ruszaj w drogę.

– Jeśli odejdę, to zostawię w zgliszczach tę budę! – ryknął pirat w przyplływie gniewu. – Po raz ostatni mówię: czy oddasz mi swój łup w zamian za wasze życia? Jesteście otoczeni, a półtorej setki ludzi czeka na mój rozkaz, by rzucić się wam do gardeł.

W odpowiedzi hrabia uczynił poniżej palisady szybki gest ręką. Niemal natychmiast, przez otwór strzelniczy śmignęła jadowicie lotka strzały i roztrzaskała napierśnik Strombanniego. Pirat zawył przeraźliwie, odskoczył i rzucił się pędem ku plaży, umykając przed deszczem strzał, który posypał się za nim. Jego ludzie z rykiem powstali z piasku i ukazali się niczym fala błyszcząca w słońcu stałą ostrzy.

– Niech cię zaraza, psie! – wykrzyknął hrabia, nokautując pierwszego łucznika ubraną w stal pięścią. – Czemuś nie trafił go w gardło, powyżej kołnierza!?! Gotujcie łuki, żołnierze! Nadchodzą!

Conan i Skarb Tranicosa

Ale Strombanni powstrzymał zapal swych ludzi. Piraci rozciągnęli się w długi szereg dookoła zachodniej ściany i zaczęli ostrożnie podchodzić, wypuszczając w powietrze strzały. Chociaż byli lepszymi łucznikami niż Zingarianie, musieli przystawać, by oddać strzał. Tymczasem ludzie hrabiego, osłonięci wysoką palisadą posyłali w ich kierunku bełty z kuszy i strzały myśliwskie, celując bardzo dokładnie.

Długie, barachańskie strzały zataczały łuk nad wałami i spadały pionowo w ziemię. Jedna z nich uderzyła w parapet okna, przy którym stała Belesa. Tina krzyknęła i skuliła się, wpatrzona w wibrujące drzewce.

Zingarianie odpowiedzieli własnymi pociskami, celując i strzelając bez pośpiechu. Kobiety zabrały dzieci do chat i ze stoickim spokojem oczekiwały przeznaczenia, które dane im były od bogów.

Barachańczycy znani byli ze swego walecznego i bezpośredniego stylu walki, ale jeśli musieli, byli równie ostrożni, jak wojownicy i nie marnowali swych sił w otwartym natarciu na umocnienia. Pełzli do przodu w rozciągniętej szeroko formacji, wykorzystując wszelkie nierówności terenu i rosnące gdzieś krzaki. Tych jednak nie było wiele wokół fortu, gdyż pole zostało oczyszczone ze wszystkich stron na wypadek ataku Piktów.

W miarę, jak Barachańczycy zbliżali się do warowni, łucznicy obrońców zaczęli odnosić więcej sukcesów. Tu i ówdzie padło jakieś ciało, zbrojne w błyszczącą stal, a spod pachy lub z szyi sterczały pierzaste lotki. Ranni jęcząc drgali konwulsyjnie na ziemi.

Piraci chronieni przez lekkie zbroje poruszali się szybko, jak koty, bezustannie zmieniając swe pozycje. Ich nieustający ostrzał stanowił poważne zagrożenie dla ludzi wewnątrz, ale było jasne, że dopóki bitwa sprowadzała się wymiany pocisków, przewaga pozostawała po stronie ukrytych Zingarczyków.

Jednakże niżej, przy dokach, piraci pracowali już toporami. Hrabia zaklął siarczyście, gdy dostrzegł zamieszanie przy jego łodziach, zbudowanych pracowicie z desek wyciosanych z pni drzew.

– Budują taran, niech ich zaraza! – szalał hrabia – Szybko, zróbmy na nich wypad, zanim skończą i póki jeszcze są rozproszeni ...

Conan i Skarb Tranicosa

Galbro potrzęsnał głową, spoglądając na nieopancerzonych robotników dzierżących niezręcznie swe piki.

– Ich strzały zasypałyby nas w jednej chwili, a w walce wręcz nie mamy z nimi szans. Nie wolno nam wpuścić ich w nasze mury, musimy zdać się na naszych łuczników.

– Tak, – odburknął Valenso – jeśli zdołamy utrzymać ich na zewnątrz.

Czas mijał, a nierozstrzygnięta walka strzelców coraz bardziej się przeciągała. Wtem pojawiła się grupka około trzydziestu ludzi, pchając przed sobą wielką tarczę zbudowaną z desek wyrwanych z łodzi. Znaleźli wózek do zaprzęgu wołów i zamontowali osłonę na kołach z wielkich, dębowych dysków. Gdy toczyli go z mozołem przed sobą, tarcza skrywała ich przed obrońcami tak, że ci mogli dojrzeć tylko ich ciężko stąpające stopy.

Machina zbliżała się do bramy, a rozbiegana dotychczas masa łuczników zebrała się wokół niej, strzelając bez ustanku.

– Strzelać! – zawył Valenso, szalejąc z gniewu. – Zatrzymać ich nim osiągną bramy!

Seria grotów wypadła zza palisady i wbiła się niegroźnie w grube drewno osłony. W odpowiedzi usłyszeli szydery ryk i świst strzał, które coraz skuteczniej znajdowały drogę przez wąskie strzelnice jako, że piraci byli coraz bliżej. Jeden z żołnierzy zatoczył się i spadł z wałów, krztusząc się i dławiąc, z rękami zaciśniętymi na drzewcach sterczących mu z krtani.

– Strzelać im w stopy! – rozkazał Valenso. – I czterdziestu ludzi do bramy z pikami i toporami! Reszta trzymać mury!

Kusznicze bełty porały piasek przed ruchomą tarczą. Krwiożerczy skowyt oznajmił, że jeden z nich doszedł celu. Mężczyzna wypadł zza tarczy, klnąc i podskakując, gdy usiłował wydobyć pocisk, który przeszył mu nogę. W tej samej chwili został naszpikowany tuzinem strzał.

Piraci rycząc dziko, nadal pchali wózek w kierunku bramy. Przez otwór w środku tarczy wystawili ciężki, obity żelazem bal, który wyciosali z krokwi utrzymującej dach hangaru w dokach. Napędzany muskularnymi ramionami i wspomagany żądzą krwi taran, grzmotnął w bramę. Masywne wrota jęknęły i zadrżały,

Conan i Skarb Tranicosa

a z palisady posypały się ciągłym strumieniem pierzaste groty. Niektóre z nich dosięgły celu, ale dzicy ludzie morza zatracili się już w szale bojowym.

Walili taranem, krzycząc donośnie za każdym razem, gdy uderzał w bramę, a ich rozproszeni towarzysze zbiegli się, nie zważając na sypiące się z góry strzały i odpowiadali własnymi pociskami.

Klnąc jak szaleniec, hrabia zeskoczył z wałów i pobiegł do bramy, dobywając miecza. Grupka zdesperowanych żołnierzy stanęła za nim murem i chwyciwszy włócznie zaparła się mocno o ziemię. Lada moment brama pęknie, a wtedy będą musieli zatrzymać szarżę własnymi ciałami.

Wtem, do ogólnego hałasu dołączył jeszcze przeraźliwy dźwięk trąbki sygnałowej z pirackiego statku. Na bocianim gnieździe jakaś postać dziko krzyczała i gestykulowała.

Grzmocenie tarana ustało, a Strombanni uniósł się zza osłony i krzyknął:

– Czekać! Czekać, zaraza! Słuchajcie!

W ciszy, która zapadła po jego potężnym ryku dało się wyraźnie słyszeć odgłos trąbki i jakieś krzyki ze statku, których nie zrozumiał nikt za murami. Ale Strombanni wychwycił słowa, gdyż jego głos znów zabrzmiał plugawą komendą. Puszczono taran, a ruchoma tarcza zaczęła się oddalać od bramy tak szybko, jak się zbliżyła. Piraci, którzy do tej pory wymieniali strzały z obrońcami, jęli zbierać swych rannych i pomagać im w pośpiesznym odwrocie na plażę.

– Patrz! – krzyknęła Tina ze swojego okna, podskakując z radości. – Uciekają! Wszyscy biegają ku plaży! Patrz! Porzucili tarczę! Wskakują do łodzi i płyną na statek! Och, moja pani, czyżbyśmy wygrali?

– Nie sędzę. – odrzekła Belesa obserwując morze. – Patrz!

Odsunęła zasłony i wychyliła się przez okno. Jej młody głos z łatwością przebił się nad rozkrzyczanym tłumem, który natychmiast obrócił głowy w kierunku, przez nią wskazanym. Wydali z siebie głęboki jęk, gdy ujrzeli kolejny statek kołyszący się majestatycznie wokół południowego cypla zatoki. Ale wnet rozpoznali łopoczący na wietrze królewski sztandar Zingary.

Conan i Skarb Tranicosa

Piraci Strombanniego pomanewrowali wokół burt karraki i natychmiast podnieśli kotwicę. Zanim nieznajomy statek przepłynął połowę zatoki, Szkarłatna Dłoń zniknęła już za północnym zakolem.

Czarny Nieznajomy

Błękitna mgła zgęstniała, wyłaniając potworną, czarną postać, dość niewyraźną i słabo widoczną w przyćmionym świetle. Postać wypełniła najbliższy koniec jaskini, rzucając cień na nieruchome, siedzące z tyłu figury. Istota miała szpiczaste uszy i mocno osadzone, wygięte ku górze rogi.

W momencie, gdy potężne ramiona wystrzeliły jak macki do gardła Cymmerianina, ten ugodził je piktyjskim toporem robiąc błyskawiczny zamach. Cios odbił się, jak od pnia drzewa hebanowego. Siła uderzenia złamała trzonek i rzuciła brązową głownię z brzękiem o ścianę tunelu. Jednakże, na ile barbarzyńca mógł się zorientować, ostrze nawet nie zadrapało ciała jego wroga. By przebić skórę demona potrzeba było więcej, niż zwykłego topora. Nagle, wielkie paluchy zamknęły się na jego gardle, z zamiarem złamania mu karku tak, jakby to była sucha trzcinka. Nigdy, od czasu gdy walczył z Baal-pteorem w świątyni Hanumana w Zambouli, Conan nie czuł na sobie takiego uścisku.

Gdy tylko włochate dłonie dotknęły jego skóry, Cymmerianin naprężył mięśnie na masywnym karku i wciągnął głowę głęboko między ramiona, by nie dać swemu nieziemskiemu przeciwnikowi nawet najmniejszej szansy. Upuścił nóż i złamany trzonek, by schwycić olbrzymie czarne przeguby. Zamachnął się nogami w przód i w tył, po czym podciągnął obie stopy pod brodę i z całej siły kopnął obunóż potężną pierś demona, prostując równocześnie całe ciało.

Niewiarygodny impet muskularnego grzbietu i nóg barbarzyńcy wyrwał go ze śmiertelnego uścisku i wyrzucił jak pocisk wzdłuż tunelu, którym przyszedł. Wylądował plecami na kamiennej podłodze, lecz szybko skoczył na nogi i nie zważając na rany, stanął gotowy do walki lub ucieczki, w zależności od sytuacji.

Conan i Skarb Tranicosa

Stał tak, gapiąc się z wyszczerzonymi zębami na drzwi do wewnętrznej jaskini, ale żadne czarne monstrum za nim nie wyskoczyło. Natychmiast po tym, jak Conan wyrwał się z uścisku, ciemny kształt zaczął rozplýwać się w niebieskawą mgłę, z której powstał. Po chwili już go nie było.

Mężczyzna stał napięty, gotów odwrócić się i skoczyć w tył do tunelu. Przesądne lęki zawirowały w umyśle barbarzyńcy. Choć był nieustraszony, wręcz do szaleństwa odważny w konfrontacjach z ludźmi i bestiami, to jednak nadnaturalna magia zawsze budziła w nim gwałtowne reakcje.

Więc to dlatego Piktowie odeszli! Powinien był podejrzewać jakieś tego rodzaju niebezpieczeństwo. Przypomniął sobie legendę o demonach, którą słyszał w młodości w chmurnej Cymmerii, a później jeszcze kilkakrotnie podczas licznych wędrówek po całym cywilizowanym świecie. Śmiertelną bronią na diabły były podobno ogień i srebro, ale niczego takiego obecnie nie miał. Mówiono, że, gdy demon przyjął już materialną postać, pozostawał w pewnym sensie przez nią ograniczony. Ten wielgachny potwór, na przykład nie mógłby biec szybciej, niż inne bestie tej wielkości i kształtu. Toteż Cymmerianin był pewien, że zdoła mu umknąć, jeśli zajdzie potrzeba.

Nabierając ponownie właściwej sobie odwagi, mężczyzna wykrzyknął, jak przechwalający się chłopiec:

– Hej tam, paskudny ryju, gdzieś się schował?

Nie było odpowiedzi. Błękitna mgła zawirowała w korytarzu, ale pozostała rozrzedzana. Pocierając posiniaczoną szyję, Conan przypomniał sobie piktyjską opowieść o demonie przywołanym przez czarodzieja, by zabił grupę obcych ludzi z morza. Został on później przez tego maga uwięziony w jaskini, gdyż raz przywołany z za zasłony nocy i zamknięty w materialnej formie, mógłby obwrócić się przeciwko temu, kto wyrwał go z rodzinnych piekieł.

Cymmerianin ponownie zatrzymał spojrzenie na skrzynie leżące wzdłuż ścian tunelu ...

Będąc znów w forcie, hrabia rozkazał:

Conan i Skarb Tranicosa

– Na zewnątrz, szybko! – własnoręcznie rozwarł skrzydła bramy, krzyząc: – Wciągnąć mi ten taran, zanim ci obcy wylądują na plaży!

– Panie, Strombanni wszak zbiegł, – argumentował Galbro – a tamten statek to Zingarczyk.

– Robić, co każe! – ryczał Valenso – Nie wszyscy moi wrogowie to obcy! Na zewnątrz, psy, sprowadzić mi taran za bramę!

Nim zingarski okręt rzucił kotwicę, prawie w tym samym miejscu, w którym stał przedtem statek piratów, trzydziestu silnych żołnierzy Valenso wtoczyło z mozołem ciężki wózek i zamknęło wrota.

Wysoko, stojąc w oknie pałacu, Tina spytała zaciekawiona:

– Czemu hrabia nie otworzy bram i nie wyjdzie ich przywitać? Czy z obawy, że człowiek, którego się lęka może być na tym statku?

– Co ty mówisz, Tina? – spytała Belesa niezręcznie. Choć hrabia nie uciekałby przed żadnym człowiekiem na ziemi, to jednak nigdy nie podał wyraźnego powodu tego dobrowolnego wygnania. Ponadto, ta dziwna pewność w głosie Tiny wydawała się niezwykle niepokojąca. Dziewczyna jednak mówiła dalej jakby nie słyszała jej pytania.

– Ludzie wrócili do warowni. – zauważyła – Bramę znów zamknięto i zasunięto, a żołnierze nadal stoją na pozycjach bojowych. Jeśli ten statek ścigał Strombanniego, czemu za nim nie popłynął? Do tego, to nie jest galeon, tylko karraka, jak poprzedni. Patrz, łódź rusza do brzegu. Widzę mężczyznę odzianego w czarny płaszcz.

Gdy łódź przycumowała, mężczyzna podgryzł spacerowym krokiem po piasku, w towarzystwie trzech innych. Był wysokim, żyłastym człowiekiem, ubranym w czarny jedwab i błyszczącą stal.

– Stać! – ryknął hrabia. – Będę negocjował tylko z waszym wodzem!

Wysoki nieznajomy zdjął hełm i ukłonił się zamasyście. Jego kompani zatrzymali się, odrzucając swe szerokie płaszcze. Żeglarze za nimi oparli się o wiosła i wpatrywali we flagę łopoczącą nad fortem.

Gdy ich przywódca znalazł się w zasięgu głosu, krzyknął:

Conan i Skarb Tranicosa

– Ależ, wśród tych morskich pustkowi nie powinno być nieufności między ludźmi honoru!

Valenso przyjrzał mu się uważnie. Obcy miał ciemną, drapieżną twarz z cienkim, czarnym wąsem. Szyję zdobił kołnierz z białej koronki, ale próżno by jej szukać na mankietach jego kurty.

– Znam cię. – rzekł wreszcie Valenso. – Tyś jest Czarny Zarono, bukanier.

Nieznajomy ponownie zgiął się w eleganckim ukłonie.

– Nie ma chyba nikogo, kto nie rozpoznałby szkarłatnego sokoła Korzettów!

– Wygląda na to, że te morza stały się miejscem schadzek wszystkich zbirów z południowych mórz. – warknął Valenso. – Czego chcesz?

– Ależ, ależ, mój panie! – zaprotestował Zarono. – Jakże grubiańsko witacie człowieka, który właśnie oddał wam przysługę. Czyż to nie ten argosański pies, Strombanni, dobijał się przed chwilą do waszej bramy? I czy nie zmykał, aż się kurzyło, gdy tylko ujrzał mnie za cyplem?

– To prawda. – przyznał niechętnie hrabia. – Choć niewielki jest wybór pomiędzy piratem, a renegatem.

Zarono niezrażony wybuchnął śmiechem i podkręcił węża.

– Jesteś panie mocny w słowach. Ale pragnę tylko zakotwiczyć w twej zatoce, by moi ludzie mogli zapolować w lasach i zdobyć wodę, a osobiście byłbym zaszczycony mogąc wychylić kielich wina przy twym stole, panie.

– Nie widzę sposobu, by cię zatrzymać. – odkrzyknął Valenso. – Ale zrozum jedno, Zarono: żaden z twoich ludzi nie wejdzie poza palisadę. Jeśli ktokolwiek podejdzie bliżej, niż na trzydzieści kroków, dostanie strzałę w bebech. I zaklinam cię, byś nie zniszczył moich ogrodów, ani trzody w zagrodach. Jedyne ustępstwo dotyczy świeżego mięsa, ale to wszystko. Jeśli zaś uważasz inaczej, to proszę bardzo, zdołamy utrzymać ten fort, gdy nas zaatakujecie.

– Jakoś wam to nie szło przeciwko Strombanniemu. – zauważył bukanier ze złośliwym uśmiechem.

– Tak, ale tym razem nie ma już drewna do budowy tarana, chyba że zrabiesz drzewo, albo wyrwiesz maszt własnego statku. – odparł mu ponuro hrabia. – A twoi

Conan i Skarb Tranicosa

ludzie to nie barachańscy łucznicy – strzelają nie lepiej, niż moi. Poza tym, ten skromny łup, jaki znalazłbyś w tym forcie, niewart byłby zachodu.

– Kto mówi o łupach i wojnie? – zaprotestował Zaron. – Moi ludzie nie mogą się już doczekać, by rozprostować kości na łądzie, a do tego bliscy są skorbutu od żucia słonej wieprzowiny. Czy mogliby wyjść na brzeg? Ręczę za ich zachowanie.

Valenso niechętnie kiwnął głową. Zaron skłonił się trochę sardonicznie i wycofał krokiem tak dostojnym, jakby stapał po kryształowej posadzce kordawańskiego dworu królewskiego, gdzie, jeśli wierzyć plotkom, był kiedyś znaczącą figurą.

– Niech nikt nie opuszcza murów. – rozkazał Valenso swemu seneszalowi Galbro. – Nie ufam temu renegackiemu kundlowi. Fakt, że przegonił Strombanniego sprzed naszych bram nie oznacza jeszcze, że on sam nie chciałby skoczyć nam do gardeł.

Galbro skinął głową. Zbyt dobrze zdawał sobie sprawę z wrogości między piratami i zingarskimi bukanierami. Piraci byli głównie argosańskimi żeglarzami wyjętymi spod prawa. Do odwiecznego konfliktu między Argos, a Zingarą dochodziła jeszcze rywalizacja o wspólne interesy. Obie grupy żerowały na transportach i nadmorskich miastach oraz na sobie z jednakową zaciekleścią.

Toteż nikt nie wychylał się zza wałów, gdy bukanierzy wyszli na brzeg. Ciemni ludzie w błyszczącym jedwabiu i stali, z turbanami i szarfami na głowach oraz złotymi kolczykami w uszach. Rozbili się na plaży. Było ich około stu siedemdziesięciu. Valenso zauważył, że Zaron wystawił warty na obu krańcach obozu. Nie dewastowali ogrodów, a część trzody, którą wyznaczył i wypuścił przez bramy Valenso, została przywołana spod murów i zarżnięta. Zaczęto rozpalać ogniska, a ze statku przyniesiono na tyczkach sporą beczkę mocnego, ciemnego piwa.

Pozostałe baryłki napełniono wodą ze źródła, które biło w pewnej odległości, na południe od fortu, a grupka ludzi z kuszami ruszyła w kierunku lasu. Widząc to Valenso nie mógł nie krzyknąć do Zaron, przechadzającego się w tę i z powrotem po obozie:

Conan i Skarb Tranicosa

– Nie pozwól swym ludziom wejść do tych lasów! Weź więcej z naszych zagród, jeśli potrzebujesz jeszcze mięsa. Ale gdy twoi pójną między te drzewa, mogą paść ofiarą Piktów. Żyją tam całe plemiona tych malowanych diabłów. Wkrótce po naszym wylądowaniu odparliśmy jeden atak, a od tego czasu sześciu moich ludzi zostało zamordowanych. Teraz jest między nami niepisany rozejm, ale wisi na włosku. Nie ryzykujcie rozdrażnienia ich!

Zarono rzucił zaskoczone spojrzenie na gęste lasy, jakby spodziewał się hordy dzikusów przemykających między drzewami. Po czym skłonił się szczerze i rzekł:

– Dzięki za ostrzeżenie, panie. – A następnie odwołał swoich ludzi, ostrym, chrypiącym głosem, który kontrastował dziwnie z jego dworskim akcentem, z jakim zwracał się do hrabiego.

Jeśli wzrok Zarono mógłby przeniknąć liściastą zasłonę, z pewnością byłby jeszcze bardziej zaniepokojony. Ujrzałby złowrogi kształt, który się tam skrył i obserwował obcych swymi nieprzeniknionymi oczami. W głuszy czaił się bowiem w przerażający sposób pomalowany wojownik, odziany jedynie w opaskę z sarniej skóry na łądzwiach i we wspaniałe pióro dzioborożca zwisające nad jego lewym uchem.

Gdy zbliżał się wieczór, cienka warstewka szarej mgły podniosła się znad brzegu morza i przesłoniła niebo. Słońce zatoneło w powodzi karminu. Mgła wydostała się znad morza i podpełzła ku drzewom, zwijając się u palisady w pogmatwane kłęby. Ogniska na plaży świeciły przyćmioną czerwoną luną, przebijając przez dymiące opary, a śpiewy bukanierów wydawały się cichnąć w oddali. Przynieśli z karraki stare płótno żaglowe i ustawili prymitywne szałas na piasku, obok skwierczących nad ogniem mięs, gdzie sączyli oszczędnie piwo podarowane przez kapitana.

Potężna brama pozostała zamknięta. Żołnierze tępo przechadzali się po wałach z włóczniami opartymi na ramionach, a na ich głowach lśniły wilgotne od rosy hełmy. Od czasu do czasu spoglądali niespokojnie w stronę ognisk na plaży, ale częściej ich wzrok odwracał się ku drzewom, zatopionym teraz w objęciach ciemnej, wilgotnej mgły. Gęstwina wydawała się pozbawiona życia, niczym martwa, ciemna i

Conan i Skarb Tranicosa

nieprzenikniona przestrzeń. Świece prześwitywały słabo przez szczeliny w dachach domostw, a z okien pałacu strzelały w noc jasne smugi światła. Wszędzie panowała cisza, przerywana tylko krokami strażników, kapaniem wody ze stropów i odległym śpiewem bukanierów.

Słabe echo tych pieśni docierało nawet do wielkiego hallu, w którym hrabia Valenso podejmował winem swego nieproszonego gościa.

– Twoi ludzie, panie, radują się. – mruknął hrabia.

– Cieszą się, że mogą znów poczuć twardy piasek pod nogami. – odparł Zaron.

– To była zaiste męcząca podróż ... tak, długi, wyczerpujący pościg. – Podniósł elegancko kielich i wykonał nim gest w stronę milczącej dziewczyny, siedzącej po prawej ręce gospodarza, po czym wychylił go ceremonialnie.

Ściany hallu otaczali krzątający się podwładni: żołnierze w hełmach dzierżący włócznie, służdy w satynowych szatach. Posiadłość Valenso była w tym dzikim kraju ledwie cieniem dworu, który miał w Kordavie.

Pałac, bo tak kazał go nazywać, był jak na takie pustkowie budowlanym cudem. Przy jego wznoszeniu pracowało, dzień i noc przez długie miesiące stu ludzi. Na zewnątrz pozbawiony ozdób i ornamentów, w środku bardzo przypominał zamek Korzetta. Bale drewna, z których zbudowano ściany, ukryto pod draperiami z ciężkiego jedwabiu haftowanego złotem. Belki ze statku, pomalowane i wypolerowane, tworzyły wysoki sufit. Podłogi pokryto drogimi dywanami, a szerokie schody prowadzące w górę ozdobiono grubym kobiercem. Zaś masywna balustrada była częścią okrętowego relingu.

W szerokim, kamiennym kominku ogień rozpraszał ponurą i wilgotną atmosferę nocy. Świece w wielkim, srebrnym kandelabrze stały na środku olbrzymiej, mahoniowej ławy, oświetlając całe pomieszczenie i rzucając długie cienie na schody.

Hrabia Valenso siedział w końcu stołu w towarzystwie siostrzenicy, swego korsarskiego gościa, Galbro i kapitana straży. Mała ilość zebranych potęgowała jeszcze ogrom rozległego stołu, który mógłby bez trudu pomieścić pięćdziesięciu gości.

– Płynąłeś za Strombannim? – zaczął Valenso. – I zapędziłeś go aż tutaj?

Conan i Skarb Trancosa

– Owszem, podążałem za Strombannim – zaśmiał się Zaron. – Ale on przede mną nie uciekał. Strombanni nie jest typem człowieka, który by przed kimś uciekał. Nie, on tu przybył w poszukiwaniu czegoś, czego ja również pragnę.

– Cóż mogłoby skusić pirata, albo bukaniera, by przybył na to nagie wybrzeże?
– wymamrotał Valenso, wpatrując się w błyszczącą zawartość swego kielicha.

– A co skusiło hrabiego Zingary? – odrzekł Zaron z chciwym błyskiem w oku.

– Zgnilizna królewskiego dworu może zmęczyć człowieka honoru. – odparł Valenso.

– Korzettowie, ludzie honoru, opierali się tej zgniliźnie ze spokojem przez całe pokolenia. – powiedział wprost Zaron. – Mój panie, nasyć mą ciekawość. Czemuś sprzedał swe ziemie, załadował galeon przedmiotami ze swego zamku i odpłynął za horyzont, jak najdalej od zingarskiej szlachty? I dlaczego osiadłeś właśnie tutaj, skoro za sprawą swego miecza lub imienia mógłbyś zdobyć kawałek lądu w każdej cywilizowanej krainie?

Valenso bawił się złotym łańcuchem, zapiętym u szyi.

– Jeśli chodzi o powód opuszczenia Zingary, – rzekł wreszcie – to moja prywatna sprawa. Niestety, ślepy traf rzucił mnie na tę plażę, choć ostatnio nikt w to nie wierzy. Sprowadziłem moich ludzi na ląd, oraz większość wyposażenia, o którym raczyłeś wspomnieć, z zamiarem wybudowania czasowego schronienia. Ale okręt, zakotwiczony w zatoce, został zniesiony ku skałom na północnym cyplu i rozbity w nagłym sztormie od zachodu. Takie burze zdarzają się tu dość często w niektórych porach roku. Po tym wszystkim, nie pozostało nam nic innego, jak tylko zostać tu i radzić sobie najlepiej jak umiemy.

– Zatem wróciłbyś do cywilizacji, gdybyś mógł?

– Nie do Kordavy. Ale może do jakiegoś innego kraju – do Vendhii, albo nawet Khitaju ...

– Czy nie znajdujesz tego miejsca potwornie nudnym, pani? – spytał nagle Zaron, po raz pierwszy zwracając się bezpośrednio do Belesy.

Nieodpaarta chęć ujżenia nowej twarzy i usłyszenia innego głosu ściągnął dziewczynę tego wieczoru do hallu, ale teraz żałowała, że nie pozostała w komnacie z

Conan i Skarb Tranicosa

Tiną. W spojrzeniu, które posłał jej Zarono nie było cienia wątpliwości, co do jego intencji. Mimo, że elegancki i oficjalny w mowie oraz pełen szacunku i spokoju na twarzy, jasne było, że kryje się pod maską, przez którą przebijała złowroga i gwałtowna natura. Nie zdołał ukryć pożądania, które zapłonęło w jego oczach, gdy patrzył na tę arystokratyczną, młodą piękność odzianą w satynową suknię z głębokim dekoltem i pas zdobiony klejnotami.

– Mało tu urozmaicenia. – odrzekła głębokim głosem.

– Gdybyś miał statek, – Zarono spytał wprost swego gospodarza – opuściłbyś ten fort?

– Może. – przyznał hrabia.

– Ja mam statek. – rzekł Zarono. – Gdybyśmy tylko mogli dojść do porozumienia ...

– Jakiego porozumienia? – Valenso podniósł głowę i spojrzał podejrzliwie na swego gościa.

– Podzielimy się po równo. – odparł Valenso, kładąc rękę na stole i rozczapierzając palce, niczym nogi gigantycznego pająka. Jego dłoń drżała z nerwowego napięcia, a oczy błysnęły nowym blaskiem.

– Podzielimy co? – Valenso gapił się na niego osłupiały. – Całe złoto, które przywozłem ze sobą poszło na dno razem z moim statkiem i w przeciwieństwie do potrzaskanych belek nie wypłynęło na brzeg.

– Nie to! – krzyknął Zarono z niecierpliwym gestem. – Bądźmy szczerzy, mój panie. Czy możesz udawać, że to przypadek, iż wylądowałeś właśnie w tym miejscu, mając do wyboru tysiącem innych możliwych miejsc na całym wybrzeżu?

– Nie ma potrzeby udawać. – odparł zimno Valenso. – Moim skiperem był Zingelito, były bukanier. Podobno żeglował tu już kiedyś i przekonał mnie, żebym wylądował na tej ziemi, mówiąc, że później wyjawi mi powody. Ale nigdy nie zdażył tego uczynić, gdyż w dzień po wyjściu na ląd poszedł do lasu, a później odnaleziono jego bezgłowe ciało. Widocznie został schwytyany i zaszlachtowany przez Piktów.

Zarono przez chwilę utkwiał wzrok w Valenso.

Conan i Skarb Tranicosa

– Niech utonę! – wyrzekł wreszcie. – Wierzę ci, panie. Korzetta nie umiałby kłamać, momo swych rozlicznych innych umiejętności. Uczynię ci propozycję. Przyznaję, że gdy zakotwiczylem w zatoce, miałem zgoła inne plany. Przypuszczając, że już odnalazłeś i zabezpieczyłeś skarb, zamierzałem wziąć ten fort siłą, a wam wszystkim poderżnąć gardła. Ale okoliczności zmusiły mnie do ponownego przemyślenia całej sprawy ... – rzucił Belesie spojrzenie, które sprawiło, że zaczerwieniła się i uniosła głowę urażona, po czym ciągnął dalej: – Mam statek, którym mógłbym wywieźć was z tego wygnania, wraz z waszym domem i służbą, którą wyznacysz. Reszta niech radzi sobie sama.

Podwładni po ścianami wymieniali między sobą niespokojne, zdziwione spojrzenia. Zarono kontynuował, zbyt brutalny i cyniczny, by nadal skrywać swe zamiary. – Ale najpierw, musisz mi pomóc zdobyć skarb, po który przepłynąłem tysiąc mil.

– Jaki skarb, na Mitrę!?! – domagał się gniewnie hrabia. – Teraz zaczynasz marudzić jak ten pies Strombanni.

– Czy słyszałeś kiedy o Krwawym Tranicosie, największym z barachańskich piratów?

– A któż o nim nie słyszał! To on wszak napadł na zamek na wyspie wygnanego księcia Tothmekriegiego ze Stygii, wyciął jego ludzi i porwał skarb, który księżę zabrał ze sobą gdy uciekał z Khemi.

– Tak jest! A legenda o tym skarbie sprawiła, że ludzie z Czerwonego Bractwa zaroili się jak sępy nad padliną – piraci, bukanierzy, a nawet dzicy czarni korsarze z południa. Obawiając się zdrady ze strony swych kapitanów, Tranicos uciekł na północ z jednym statkiem i słuch po nim zaginął. To wszystko zdarzyło się blisko sto lat temu.

– Ale legenda utrzymuje, że jeden z ludzi przeżył tę ostatnią podróż i wrócił do Barachan, tylko po to, by zostać złapanym przez zingarski galeon wojenny. Zanim go powieszono, opisał swą historię i nakreślił własną krwią mapę, na pergaminie, który zdołał ukryć przed swymi prześladowcami. Oto jego opowieść:

– Tranicos popłynął daleko poza szlaki żeglarskie, aż dotarł do samotnej zatoczki, gdzie rzucił kotwicę. Zszedł na ląd, zabierając ze sobą skarb i jedenastu ze

Conan i Skarb Tranicosa

swych najbardziej zaufanych kapitanów, którzy przyłynęli razem z nim. Zgodnie z jego rozkazem, okręt odpłynął, by powrócić po tygodniu i zabrać admirała i jego ludzi. W międzyczasie, Tranicos zamierzał ukryć skarb gdzieś w pobliżu zatoki. Statek wrócił w umówionym czasie, ale nie zastał żywego ducha, tylko prymitywną chatkę, którą zbudowali sobie na plaży.

– Była zniszczona, a na piasku widać było odciski bosych stóp, jednak żadnych śladów walki. Oczywiście, nie było też śladu skarbu, ani jakiegokolwiek wskazówki, gdzie mógłby być ukryty. Piraci zapuścili się w las, w poszukiwaniu swego wodza. Mając ze sobą bossońskiego tropiciela, podążyli tropem zaginionych starymi szlakami prowadzącymi kilka mil na wschód od wybrzeża. Padając ze zmęczenia i nie mogąc odnaleźć admirała, wysłali jednego ze swych towarzyszy, by wspiął się na wysokie drzewo i rozejrzał po okolicy, a ten dostrzegł niedaleko wielką, samotną skałę wyrastającą spośród lasu jak wieża. Ruszyli w jej kierunku, ale zostali wtedy zaatakowani przez grupę Piktów i zmuszeni do ucieczki na statek. Zrozpaczeni podnieśli kotwicę i odpłynęli. Zanim jednak dotarli do wysp Baracha, potworny sztorm zniszczył ich okręt. Tylko jeden z nich przeżył.

– Oto jest opowieść o skarbie Tranicosa, którego ludzie poszukują już niemal od stu lat. To, że mapa istnieje jest pewne, ale gdzie – pozostaje tajemnicą.

– Miałem okazję zerknąć na tę mapę. Strombanni i Zingelito byli ze mną i jednym Nemedyczykiem, który pływał z Barachańczykami. Szukaliśmy jej w Messantii, gdzie ukrywaliśmy się pod przebraniem. Nagle, ktoś rozbił lampę, ktoś inny zawył w ciemności, a gdy znowu zapaliliśmy światło, ten stary nieszczęśnik, który miał mapę leżał martwy ze sztyletem w sercu. Mapa zniknęła, zaś nocna warta już dzwoniła na zewnątrz kolczugami, by zbadać włóczniami przyczynę hałasu. Rozproszyliśmy się i każdy ruszył w swoją stronę.

– Lata później, Strombanni i ja patrzyliśmy sobie wzajemnie na ręce i każdy z nas podejrzewał, że ten drugi ma mapę. Cóż, okazało się, że żaden z nas jej nie miał. Ostatnio doszły mnie słuchy, że Strombanni wyruszył na północ, więc podążyłem za nim. Wy widzieliście zakończenie tej pogoni.

Conan i Skarb Tranicosa

– Mogłem jedynie zerknąć na tę mapę, gdy leżała na stole Nemedyczyka i niewiele z niej pamiętam, ale Strombanni zachowywał się tak, jakby wiedział, że to właśnie jest zatoka, w której kotwiczył Tranicos. Sądzę, że ukryli skarb na tej skale lub gdzieś w pobliżu, a w czasie powrotu zostali zaatakowani przez Piktów. Piktowie z pewnością nie przejęli skarbu, bowiem ludzie handlujący z nimi wzdłuż wybrzeża nie widzieli u tych nadmorskich plemion żadnych ozdób ze złota, ani szlachetnych kamieni.

– Oto moja oferta. Połączmy siły. Strombanni jest gdzieś niedaleko. Uciekł, bo bał się, że weźmiemy go w dwa ognie. Jednak wkrótce wróci. Gdy się sprzymierzimy, możemy śmiać się z niego i z jego piratów. Możemy wyjść z fortu, zostawiając tu załogę zdolną do utrzymania go, w razie ataku. Wierzę, że skarb ukryto gdzieś blisko. Dwunastu ludzi nie zdołałoby go przetransportować zbyt daleko. Odnajdziemy go, załadujemy na mój statek i pozelegujemy do jakiegoś zamorskiego portu, gdzie mógłbym zamazać swą przeszłość złotem. Mam już dość tego życia. Chcę wrócić do cywilizacji i żyć jak szlachcic, w bogactwie i pełnym niewolników zamku ... oraz z żoną ze szlacheckiej krwi.

– Taaak? – zaciekawiał się hrabia, mrużąc podejrzliwie oczy.

– Daj mi swą siostrzenicę za żonę. – odparł rozzuchwalony bukanier.

Belesa krzyknęła ostro i poderwała się na nogi. Valenso również wstał, pobladył z gniewu, konwulsyjnie zaciskając palce na swym kielichu, jakby zamierzał cisnąć nim w swego gościa. Zarono nie poruszył się. Siedział spokojnie, z jedną ręką opartą na stole i szponiasto zakrzywionymi palcami. Tylko jego oczy groźnie płonęły żądzą.

– Jak śmiesz! – ryknął Valenso.

– Wydajesz się zapominać, że spadłeś ze swego wysokiego urzędu, hrabio Valenso. – warknął Zarono. – Nie jesteśmy na kordawańskim dworze, mój panie. Na tym nagim brzegu, szlachectwo mierzy się siłą żołnierzy, a w tej kategorii cię przewyższam. W zamku Korzetta żądzą obcy, a fortuna Korzettów leży na dnie morza. Umrzesz tutaj jako wygnaniec, jeśli nie skorzystasz z mojej oferty.

Conan i Skarb Tranicosa

– Nie pożałujesz sojuszu naszych domów. Przekonasz się, że z nowym imieniem i wielką fortuną Czarny Zarono może zająć miejsce wśród arystokracji świata i stać się zięciem, którego nawet Korzetta nie musi się wstydić.

– Musisz być szalony, by tak myśleć! – krzyknął gwałtownie hrabia. – Ty ... kto tam?

Nagle, jego uwagę rozproszył tupot stóp obutych w miękkie sandały. Tina wbiegła pośpiesznie do hallu, lecz zawahała się widząc gniewne spojrzenie hrabiego. Dygnęła nisko i okrążyła wielki stół, by uścisnąć swymi drobnymi rękami dłoń Belesy. Dyszała lekko, jej sandały były całe przemoczone, a włosy przylepiły się do głowy

– Tina! – krzyknęła zaniepokojona Belesa. – Gdzieś ty była? Myślałam, że przez te kilka godzin przebywałaś w swej komnacie.

– Tak, byłam, – odparła dziewczyna łapiąc oddech – ale zgubiłam ten koralowy naszyjnik, który mi dałaś ... – pokazała proste koraliki, które tak wiele dla niej znaczyły, gdyż były pierwszym prezentem od Belesy. – Bałam się, że nie pozwolisz mi iść, jeśli się dowiesz. Żona jednego z żołnierzy pomogła mi przejść przez palisadę i z powrotem. Tylko proszę, pani, nie zmuszaj mnie, bym ci powiedziała która to, gdyż obiecałam, że tego nie uczynię. Znalazłam mój naszyjnik przy sadzawce, tam gdzie kąpałam się dziś rano. Proszę, ukaż mnie, jeśli źle postąpiłam.

– Tina! – krzyknęła Belesa, przytulając dziewczynę do siebie. – Nie ukażę cię, ale nie powinnaś wychodzić poza palisadę, kiedy na zewnątrz obozują bukanierzy, a w lasach czyhają Piktowie. Chodź, zabiorę cię do twej komnaty i zmienisz te mokre szaty.

– Dobrze, pani, ale najpierw pozwól, że powiem ci o czarnym mężczyźnie ...

– Coo! – nagle przerwał jej niepohamowany ryk, który wyrwał się z ust Valenso. Jego kielich roztrzaskał się o ziemię, gdy uchwycił się obiema rękami stołu. Gdyby przed chwilą trzasnął w niego piorun, hrabia nie wyglądałby na tak przerażająco odmienionego. Jego twarz zbladła jak kreda, a oczy wychodziły z orbit.

– Coś ty powiedziała? – sapnął wściekle, wbijając dziko wzrok w dziewczynę, która cofnęła się i wtuliła w Belesę osłupiała.

Conan i Skarb Tranicosa

– Coś ty powiedziała, dziewucho?!

– Cz–czarny człowiek, mój panie. – wyjąkała, podczas gdy Belesa, Zarono i reszta służby gapili się zdumieni na pana tego pałacu. – Gdy poszłam w dół, do sadzawki, żeby zabrać mój naszyjnik, wtedy go ujrzałam. Wiatr zaczął jakoś dziwnie wyc, a morze zaszumiało, jakby się czegoś bało, i wtedy pojawił się on. Przytłynął morzem w dziwnej, czarnej łodzi oświetlonej dookoła niebieskawym światłem, które nie potrzebowało pochodni. Podciągnął swą łódź na plażę, poniżej południowego cypla i wszedł do lasu. Wyglądał jak gigant we mgle – wysoki, potężny mężczyzna, ciemny jak Kushyta.

Valenso zachwiał się, jakby otrzymał śmiertelny cios. Zacisnął ręce na gardle, zrywając w porywie szafu swój złoty łańcuch. Z obliczem szaleńca zatoczył się wokół stołu i wyrwał krzyczącą dziewczynę z ramion Belesy.

– Ty mała dziwko! – wrzasnęła. – Łżesz! Słyszałaś mnie mającego przez sen i teraz rzeczesz to, by mnie dręczyć! Powiedz, że łżesz, zanim zedrę z ciebie pasy!

– Wuju! – zaszlochała Belesa oszołomiona z oburzenia, próbując wyswobodzić Tinę z jego uścisku. – Czyś ty oszalał, wuju? O co ci chodzi?

Parskając zerwał jej rękę ze swego ramienia i pchnął potykającą się Belesę prosto w ramiona Galbro, który złapał kobietę, nie próbując przy tym ukryć lubieżnego spojrzenia.

– Litości, panie! – szlochała Tina. – Ja nie kłamię!

– Przecież mówię, że łżesz! – ryknął Valenso. – Gebellez!

Postawny służący chwycił roztrzęsioną dziewczynę i jednym brutalnym ruchem zerwał skromne odzienie z jej ciała. Obróciła się i zakryła swymi smukłymi ramionami, podnosząc nagie stopy z podłogi.

– Wuju! – krzyknęła Belesa, wykręcając się na próżno z pożądliwego uścisku Galbro. – Jesteś szalony! Nie możesz, och nie wolno ci ...! – głos uwiązał jej w gardle, gdy Valenso chwycił zdobioną klejnotami rękojeść bicia i smagnął nim przez kruche ciało dziewczyny z dziką zaciekłością i siłą, która pozostawiła na jej nagich ramionach czerwoną pręgę.

Conan i Skarb Tranicosa

Belesa zawyła, nie mogąc znieść cierpienia w krzyku Tiny. Nagle cały jej świat oszalał. Jak w sennym koszmarze widziała ponure, bestialskie twarze żołnierzy i sług, nie okazujące ani żalu, ani współczucia. Częścią tej przerażającej wizji była wykrzywiona w pogardzie, okrutna twarz Zarono. Nic w tym krwawym zamęcie nie było prawdziwe, prócz nagiego, białego ciała Tiny poznaczonego krzyżującymi się, szkarłatnymi ranami od ramion, aż po kolana. Żaden dźwięk nie był słyszalny, poza ostrymi jękami cierpiącej w agonii dziewczyny i sapiącego rżenia Valenso, gdy zamachiwał się ze wzrokiem szaleńca i wrzeszczał:

– Łżesz! Łżesz! Przeklinam cię! Wyznaj swą winę, albo zatłukę tve krnąbrne ciało! Nie mógł mnie tutaj wysledzić ...

– Och panie, miej litość! – krzyczała dziewczyna, zwijając się bezskutecznie w uścisku potężnego sługi, zbyt oszalała ze strachu, by ratować się kłamstwem. Krew popłynęła karminowymi strumykami po jej drżących udach. – Widziałam go! Nie kłamię! Litości, proszę! Aaach!

– Ty głupcze! Ty idioto! – darła się Belesa – Czy nie widzisz, że mówi prawdę? Och, jesteś potworem! Ty bestio, bestio! Ty potworze!

Jakiś promyk opamiętania wydawał się wracać do umysłu hrabiego Valenso Korzetty. Upuścił bicz i zatoczył się nieprzytomnie w stronę stołu, chwytając kurczowo jego brzeg. Trząśł się jak w gorączce. Włosy przywarły mu do czoła ciemnymi strąkami, a pot spływał po bladym obliczu, które wyglądało teraz, jak wyrzeźbiona maska Strachu. Tina puszczona przez Gebelleza, osunęła się na ziemię wstrząsana szlochem. Belesa wyrwała się wreszcie Galbro, skoczyła do niej płacząc i upadła na kolana. Obejmując nieszczęsną sierotkę ramionami, uniosła wykrzywioną gniewem twarz w stronę swego wuja. Ale on nie patrzył na Belesę. Wydawało się, jakby zapomniał i o niej i o swej ofierze. Nie wierząc własnym uszom Belesa usłyszała, jak mówi do bukaniera:

– Przyjmuję twą ofertę, Zarono. Na Mitrę, znajźmy szybko ten przeklęty skarb i opuśćmy to potworne wybrzeże!

Na te słowa płomień jej gniewu rozpadł się w popiół. Milcząc, oszołomiona wzięła łkającą dziewczynę na ręce, by zanieść ją do swej komnaty. Zerknęła przy tym

Conan i Skarb Tranicosa

za siebie i zobaczyła Valenso schylonego ze zmęczenia nad stołem i pijącego wino z wielkiego pucharu, który dzierżył dwiema drżącymi rękami. Zarono górował nad nim jak drapieżny ptak, zaskoczony niespodziewanym zwrotem wydarzeń, ale gotów szybko wyciągnąć korzyści z szokującej zmiany, jaka zaszła w zachowaniu hrabiego. Mówił niskim, nie znoszącym sprzeciwu głosem, a Valenso kiwał głową w milczącej zgodzie, jak ktoś, do kogo z ledwością docierają jakiegokolwiek słowa. Galbro stał w cieniu, skubiąc brodę palcami, a poddani obecni przy całym zajściu spoglądali po sobie ukradkiem, zaskoczeni porażką swego pana.

W komnacie Belesa ułożyła na wprost omdlałą dziewczynę na łożu i usiadła obok, by obmyć jej rany i posmarować łagodzącymi ból balsamami krwawe pręgi i blizny na delikatnym ciele. Tina poddała się z ufnoscia zabiegom swej pani, pojękując cichutko. Belesa poczuła, jakby świat roztrzaskał się na jej oczach. Była oszołomiona i zdezorientowana, a jej przeciążone nerwy na skutek brutalnego szoku, jakiego doznała wywoływały drżenie całego ciała. Strach i nienawiść do wuja narosła ponownie w jej duszy. Nigdy go nie kochała. Był ostry, opryskliwy i porywczy, najwyraźniej niezdolny do pozytywnych uczuć. Niemniej jednak uważała go za sprawiedliwego i nieustraszonego. Na samą myśl o jego wybałuszonych oczach i bladej, przerażonej twarzy targnęły nią mdłości. Jego szal musiał być spowodowany jakimś panicznym strachem, wskutek którego zbeszcześcił jedyną istotę, którą mogła kochać i uwielbiać. Z powodu tego samego lęku sprzedawał ją teraz, swą własną bratanicę, temu niesławnemu wyrzutkowi. Co kryło się za tym szaleństwem? Kim był czarny mężczyzna, którego widziała Tina?

Dziewczyna zamamrotała w malignie:

– Nie kłamałam, pani! Naprawdę, nie kłamałam! To był czarny mężczyzna w ciemnym płaszczu, który płynął na czarnej łodzi płonącej na wodzie błękitnym ogniem! Wysoki, prawie tak ciemny, jak Kushyta. Przeleżałam się, gdy go ujrzałam, a w mych żyłach zamarzyła krew. Zostawił swą łódź na plaży i wszedł do lasu. Czemu hrabia mnie za to wybatożył?

– Ciii, Tina. – uspokoiła ją Belesa. – Leż spokojnie. Bóle wkrótce miną.

Conan i Skarb Tranicosa

Nagle, drzwi za nią, otworzyły się. Odwróciła się gwałtownie, chwytając zdobiony szlachetnymi kamieniami sztylet. U wejścia do komnaty stał hrabia i przedstawiał sobą niesłychanie żaloszny widok. Wyglądał o całe lata starzej. Jego twarz poszarzała i ściągnęła się, a oczy patrzyły w sposób, który obudził w niej lęk. Nigdy nie była z nim blisko, ale teraz wydawało się, jakby dzieliła ich przepaść. Nie był już jej wujem, ale kimś obcym, kto przyszedł tu, by ją dręczyć.

Uniosła nóż.

– Jeśli znowu ją dotkniesz, – wycedziła przez zaciśnięte usta – przysięgam na Mitrę, że zatopię to ostrze w twojej piersi.

Nie dotarło do niego, co rzekła.

– Wystawiłem silne warty wokół pałacu. – powiedział, jak w transie. – Zarono sprowadzi jutro swoich ludzi do wnętrza fortu. Nie odejdzie, dopóki nie odnajdzie skarbu. Gdy to się stanie, wypłyniemy natychmiast ku jakiejś przystani, daleko stąd. Później zadecydujemy gdzie.

– I sprzedasz mnie temu bandycie? – wyszeptwała. – Na Mitrę ...

Zmierzył ją posępnym wzrokiem, w którym nie było miejsca na inne, niż jego własne interesy. Miała wrażenie, że kurczy się pod tym spojrzeniem, dostrzegając w nim nieobliczalne okrucieństwo, które opanowało przerażonego człowieka.

– Uczynisz, jak rozkażę. – odrzekł zasadniczo, a w jego głosie mniej brzmiało ludzkiego uczucia, niż w uderzeniu młota o kowadło. Odrócił się i wyszedł z komnaty. Ogarnięta nagłym przerażeniem, Belesa poczuła, jak mdleje, padając na łożo, tuż obok śpiącej Tiny.

Rytm czarnego bębna

Belesa nie wiedziała ile czasu leżała bez czucia, przygnieciona ciężarem swego nieszczęścia. Pierwszą rzeczą, którą poczuła, były otaczające ją ramiona Tiny i lekkie chlupanie dziewczyny. Mechanicznie wyprostowała się i przyciągnęła ją do siebie. Siedział tak, niezdolna do płaczu i patrzyła nieobecnie na migoczącą świecę. W pałacu

Conan i Skarb Tranicosa

nie było słyhać żywego ducha. Ustały śpiewy bukanierów na plaży. Beznamiętnie, niemalże bez żadnych emocji zaczęła zastanawiać się nad swym położeniem.

Valenso postradał zmysły, doprowadzony do szaleństwa opowieścią o tajemniczym, czarnym mężczyźnie. Jedynym powodem, dla którego chciał opuścić to miejsce i pożeglować wraz z Zarono, był lęk przed tym człowiekiem. To całkiem oczywiste. Podobnie, jak fakt, że gotów był poświęcić ją w zamian za możliwość ucieczki. W ciemności, która ją ogarniała nie widziała nawet śladu światła. Służący byli albo niezgłumami, albo tępymi brutalami, a ich kobiety były głupie i apatyczne. Nie śmieliby, ani nawet nie chcieliby jej pomóc. Była bezradna i zdana tylko na siebie.

Tina uniosła swą spuchniętą od łez twarz, zupełnie, jakby słuchała poleceń jakiegoś wewnętrznego głosu. Zrozumienie, jakie dziewczyna przejawiała dla najskrytszych myśli Belesy było zdumiewające. Podobnie zresztą, jak chęć przeciwstawienia się bezlitosnej i nieubłaganej ręce Losu, jedynej alternatywy pozostawionej słabym.

– Musimy iść, pani. – wyszeptała. – Zarono cię nie dostanie. Umknijmy daleko do lasu. Będziemy szły, aż opadniemy z sił, a wtedy położymy się razem i umrzemy.

Ta desperacka siła, która jest ostatnią pocieszycielką słabych, zawitała w duszy Belesy. Oto jedyna ucieczka przed cieniem, który zaczął kłaść się nad jej życiem od czasu, gdy opuściła Zingarę.

– Pójdziemy, moje dziecko.

Wstała i zaczęła odziewać się w płaszcz, gdy nagle poderwał ją zduszony okrzyk Tiny. Dziewczyna stała przy drzwiach, z palcem przyciśniętym do ust i oczami rozszerzonymi ze strachu.

– O co chodzi, Tina? – przerażone spojrzenie dziewczyny sprawiło, że Belesa ściszyła głos do szeptu, a zewsząd ogarnął ją niewytłumaczalny lęk.

– Ktoś jest na zewnątrz, w hallu. – wyszeptała Tina, ściskając kurczowo jej ramię. – Zatrzymał się przy naszych drzwiach, a teraz podszedł do komnaty hrabiego w drugim końcu korytarza.

– Twój słuch jest lepszy, niż mój. – wymamrotała Belesa. – Ale nie ma w tym nic niezwykłego. To pewnie sam hrabia, albo może Galbro.

Conan i Skarb Tranicosa

Podeszła, by otworzyć drzwi, ale Tina objęła ją gwałtownie za szyję i Belesa poczuła dzikie bicie jej serca.

– Nie! Nie, pani! Nie otwieraj drzwi! Boję się! Nie wiem czemu, ale czuję, że przemyka za nimi jakaś złowroga istota.

Zdumiona Belesa pogładziła ją pocieszająco po włosach i sięgnęła ręką do metalowej zaślepki osłaniającej wizjer w środku drzwi.

– On wraca! – zadrżała Tina. – Słyszę jego kroki!

Do Belesy też coś dotarło – ostrożny, ledwie słyszalny krok, który, jak stwierdziła przerażona, nie należał do nikogo, kogo znała. Nie był to też odgłos stóp Zarono, ani żadnego innego, obutego człowieka. Czy mógłby to być jakiś bukanier, skradający się bosy po hallu, by skrycie zamordować we śnie swego gospodarza? Przypomniała sobie wartowników wystawionych piętro niżej. Jeśli ten bukanier pozostałby w pałacu na noc, postawiono by pod jego komnatą strażę. Kto więc przemykał się wzdłuż korytarza? Nikt poza nimi, hrabią i Galbro nie spał wszak na piętrze.

Szybkim ruchem zgasiła światło tak, aby nie świeciło przez wizjer i odsunęła miedzianą osłonkę. Wszystkie latarnie w hallu, zwykle oświetlane świecami, były wygaszone. Ktoś poruszał się po zaciemnionym korytarzu. Wyczuła raczej, niż zobaczyła jakiś niewyraźny, ale dość duży kształt poruszający się obok jej drzwi. Jednak nie zdołała dostrzec nic, poza tym, że był to człowiek. Mrożąca krew w żyłach fala strachu przebiegła po jej plecach. Schyliła się niemo, niezdolna do wydania jakiegokolwiek dźwięku. Nie był to już lęk podobny do tego, który wzbudził w niej wuj, ani obawa przed okrutnym Zarono, ani nawet ponurym lasem. To, co teraz czuła, było ślepy, niewytłumaczalnym horrorem, który złożył swą lodowatą dłoń na jej duszy i przymroził jej język do podniebienia.

Postać przemknęła ku schodom, gdzie przez moment oświetlił ją przyćmiony blask bijący z pomieszczeń poniżej. Był to mężczyzna, ale niepodobny do żadnego, jakiego Belesa dotychczas widziała. Sprawiał wrażenie, jakby miał ogoloną głowę z lekko orlim rysem twarzy i błyszczącą, brązową skórę, ciemniejszą, niż skóra jej

Conan i Skarb Tranicosa

śniadych ziomków. Głowa górowała nad szerokimi, masywnymi ramionami odzianymi w czarny płaszcz. Po chwili intruza już nie było.

Skuliła się w oczekiwaniu na krzyk, który oznajmiłby, że żołnierze dostrzegli go w wielkim hallu, ale pałac pozostawał uśpiony. Gdzieś tylko wiatr zawył gwizdząco. To wszystko.

Ręce Belesy były wilgotne od potu, gdy szukała po ciemku świecy, żeby ją ponownie zapalić. Nadal była roztrzęsiona ze strachu, ale nie mogła pojąć, co takiego w tej czarnej postaci wzbudziło w niej krwawą nienawiść. Wiedziała tylko, że ten widok pozbawił ją całkowicie tak niedawno odzyskanej pewności siebie. Była totalnie zrozpaczona, niezdolna uczynić ruchu.

Świeca zapłonęła, oświetlając bladą twarz Tiny żółtym światłem.

– To był czarny mężczyzna! – wyszeptała Tina. – Wiem o tym! Moja krew zmroziła się w żyłach, tak samo, jak wtedy, gdy widziałam go na plaży. Na dole są żołnierze – dlaczego go nie zauważyli? Czy powinniśmy powiedzieć hrabiemu?

Belesa pokręciła głową. Nie zamierzała powtarzać sceny, która nastąpiła po pierwszej wzmiance Tiny o czarnym człowieku. Poza tym, nie śmiałyby wyjść teraz na ciemny korytarz.

– Nie możemy iść do lasu! – zadrżała Tina. – On się tam ukrywa.

Belesa nie spytała, skąd dziewczyna wiedziała, że mężczyzna będzie właśnie w lesie. Wydawało się to dość logicznym miejscem dla jakiegokolwiek zła – nieważne, człowieka, czy diabła. Wiedziała, że Tina ma rację. Nie mogły teraz opuścić fortu. Jej, niewzruszona na myśl o pewnej śmierci determinacja, ustąpiła myśli o przemykaniu się przez te ciemne lasy w towarzystwie jakiejś mrocznej, złowieszczej istoty buszującej między drzewami. Bezradnie usiadła na podłodze i zatopiła twarz w dłoniach.

Tina usnęła wkrótce na łożu. Na jej długich rzęsach migotały wielkie łzy, gdy miotła się w niespokojnym śnie. Belesa czuwała.

Kiedy zbliżał się świt, Belesa zauważyła pogorszenie pogody. Usłyszała niski rumor grzmotu, gdzieś nad morzem i wygasła ledwie tłącą się świeczkę. Podeszła do okna skąd mogła zobaczyć zarówno ocean, jak i szeroki pas lasu za fortem.

Conan i Skarb Tranicosa

Mgła zniknęła, a wzdłuż wschodniego horyzontu rozwinęła się blada i cienka wstążka wczesnego świtu. Od strony morza jednakże, powstawała ciemna masa skotłowanego powietrza. Nagle, wystrzeliła z niej błyskawica i grzmotnęła o wodę z głośnym hukiem. W odpowiedzi, z lasu dała się słyszeć jakiś hałas.

Zdziwiona Belesa odwróciła się i zaczęła wpatrywać między drzewa, w nieprzeniknioną, ponurą gęstwinę. Dziwne rytmiczne pulsowanie dobiegło jej uszu – jakby bębniące echo, które nie przypominało dźwięku piktyjskiego tam–tamu.

– Bęben! – krzyknęła Tina, spazmatycznie otwierając i zaciskając palce przez sen. – Czarny człowiek! Uderza w czarny bęben! W czarnym lesie! Och, Mitro, chroń nas!

Belesa zadrżała. Czarna chmura nad zachodnim horyzontem, wiła się i falowała, puchnąc i rozszerzając się. Patrzyła zdumiona, gdyż poprzedniego lata o tej porze nie było takich sztormów, a ona sama nigdy w życiu nie widziała takiej chmury.

Zbliżała się, bulgocząc nad widnokregiem olbrzymią czarną masą napędzaną przez błękitny ogień. Wirowała i pulsowała, a wiatr szalał w jej wnętrzu. Hałas, jaki czyniła, sprawiał, że powietrze drżało. Wtem inny dźwięk dołączył do kakofonii grzmotów – świdrujący gwizd wichru, który pędził chmurę w kierunku brzegu. Fioletowy horyzont rozrywały raz po raz srebrne błyski. Daleko w morzu widziała już spienione pióropusze fal umykające przed dmącym wiatrem. Słyszała jak się zbliża, rycząc coraz głośniej i głośniej.

Jednakże na razie, nawet podmuch nie dotarł do lądu. Powietrze pozostawało gorące i duszne. Było coś nienaturalnego w tym kontraście: tam daleko – wicher, grzmoty i chaos sunący prosto na nich, ale tutaj – porażająca cisza. Gdzieś poniżej jej okna trzasnęły drzwi, niczym brutalne wtargnięcie w tę niezmaconą ciszę i odezwał się głos kobiety krzyczącej na alarm. Jednak większość ludzi w forcie jeszcze spała, nieświadoma zbliżającego się huraganu.

Zdała sobie sprawę, że nadal słyszała tajemnicze bicie w bęben. Spojrzała w stronę ciemnego lasu, z uczuciem gęsiej skórki na karku. Nic nie dojrzała, ale jakaś niewytłumaczona intuicja sprawiła, że wyobraziła sobie czarną, straszliwą postać

Conan i Skarb Trancosa

przykucniętą na czarnych gałęziach i bijącą rytm nieznannej inkantacji na bębnie o egzotycznym wyglądzie.

Desperacko wstrząsnęła głową, by rozproszyć złowrogie wyobrazenie i odwróciła się do morza właśnie w momencie, gdy o wodę łupnęła błyskawica. W jej blasku Belesa ujrzała oświetlone maszty okrętu Zarono, namioty bukanierów na plaży, piaszczyste wydmy na południowym cyplu i skaliste klify na północnym. Wszystko było tak wyraźnie, jak w biały dzień. Wycie wiatru wzmagало się coraz bardziej, aż w końcu zbudziło cały pałac. Na schodach dało się słyszeć odgłosy biegających stóp, a Zarono wrzeszczał z nutką strachu w głosie. Drzwi trzasnęły, i Valenso odpowiedział, przekrzykując ryk żywiołów.

– Dlaczegoś mnie nie ostrzegł przed sztormem z zachodu? – wył bukanier. – Jeśli kotwice nie utrzymają ...

– O tej porze roku nigdy nie było tu zachodniej burzy! – wrzasnął Valenso, wypadając z komnaty w koszuli nocnej, z twarzą bladą, a włosami sterczącymi na boki. – To robota tego ... – uciał, biegnąc wściekle po drabinie, która prowadziła do wieżyczki obserwacyjnej, popędzany przez przekleństwa bukaniera.

Belesa skuliła się przy oknie, przerażona i ogłuszona. Wiatr dał głośniejsze i głośniejsze, dopóki nie pochłonał każdego innego dźwięku – każdego, prócz szaleńczego bicia w bęben, które teraz się wzmogło i brzmiało jak nieludzka pieśń triumfu. Sztorm wpadł na wybrzeże, pchając przed sobą spienioną górę piany. Później piekło i zniszczenie rozszały się na lądzie. Deszcz lał się strumieniami, omiatając plażę w dzikim szale. Wichur uderzył jak grzmot, aż zadrżały podpory fortu. Fala wpadła z rykiem na plażę, zmiatając tony piasku, bukanierów i ich ogniska.

W blasku błyskawicy, przez kurtynę zacinającego deszczu Belesa ujrzała, namioty porwane na strzępy i uniesione w powietrze. Ludzie brnęli w stronę warowni, kładąc się niemalże na ziemi pod wściekłym naciskiem wichru. Na tle błękitnej poświaty dostrzegła statek Zarono, zerwany z więzów, niesiony prosto na poszarpane skały, które wydawały się wystawiać swe ostre wierzchołki na jego przyjęcie.

Conan i Skarb Tranicosa

Człowiek z dziczy

Sztorm powstrzymał swą furję i świt ukazał się ponownie, odsłaniając niebieskie, zmyte deszczem niebo. Jaskrawo upierzone ptaki podniosły świergoczący zgiełk wśród drzew. Liście, których wielkie krople wody migotały jak diamenty, drżały lekko w porannej bryzie.

Przy małym strumyku, który wił się wśród piasków w swej wędrówce do morza, ukryty za pasmem drzew i krzaków, przykłęknął mężczyzna, by obmyć sobie twarz i ręce. Czynił to zgodnie ze zwyczajem swego gatunku, parszcząc głośno i przyskając wodą jak bawół. Jednakże w trakcie tego swawolenia, podniósł nagle głowę, a z jego brunatno–żółtych włosów pociekła woda na szerokie ramiona. Na moment przykucnął, nasłuchując, po czym stanął na równe nogi i odwróciwszy się w stronę lądu, popędził z mieczem w dłoni. Nagle, zamarł bez ruchu, gapiąc się z otwartymi ustami.

Oto szedł ku niemu plażą człowiek większy nawet od niego, nie czyniący jednak nic, by się ukryć. Oczy pirata rozszerzyły się, gdy ujrzał te ciasno przylegające, jedwabne bryczesy, błyszczące, długie buty, luźną koszulę z falbanami i kapelusz, jakby sprzed stu lat. Przy pasie nieznajomego zwiślała szeroka szabla piracka, a w jego oczach odbijał się jednoznaczny zamiar.

Pirat zbladł, gdy nagle rozpoznał przybysza.

– Ty! – wykrzyknął niedowierzająco. – Na Mitrę! To ty!

Z jego ust posypały się klątwy, gdy sięgał po swoją szablę. Ptaki uleciały w powietrze w ognistych gromadach, gdy tylko szczęk stali zakłócił ich trele. Zderzające się ostrza miotały błękitne iskry, a piasek pod nogami walczących skrzypiał i chrobotał, gdy stąpali po nim obcasami ciężkich butów. Wtem, uderzenie stali zakończyło się głuchym chrupnięciem i jeden z mężczyzn padł na kolana ze zduszonym jękiem. Rękojeść miecza wypadła z jego roztrzęsionej ręki, a on sam legł na piasek jak długi, brukając go czerwienią krwi. Ostatnim wysiłkiem, wyszperał coś zza pasa i próbował podnieść to do ust, ale nagle zeszywniał konwulsyjnie i opadł na ziemię.

Conan i Skarb Trancosa

Zwycięzca pochylił się i bezwzględnie wydarł z zeszywniałych palców przedmiot, na którym kurczowo się zamknęły.

Zarono i Valenso stali na plaży, wpatrując się w wyrzucone przez fale kawałki drewna, które zbierali ich ludzie – reje, szczątki masztów, połamane belki. Sztorm tak gwałtownie huknął statkiem Zarono o skalisty brzeg, że większość ocalałych części stanowiły drzazgi. Niedaleko za nim stała Belesa, przysłuchując się ich dyskusji i jedną ręką obejmując Tinę. Stała tak, blada i bezsilna, i apatycznie oczekując przeznaczenia, jakie zgotował dla niej Los. Słuchała, co mówili, ale bez zainteresowania. Przygniatała ją świadomość, że była jedynie pionkiem w grze, jakiegokolwiek nie byłoby jej rozwiązanie – czy żalosna wegetacja na tym zapomnianym przez bogów wybrzeżu, czy też powrót do jakiegoś cywilizowanego kraju.

Zarono klął jadowicie, ale Valenso wydawał się otepiąły.

– O tej porze roku, nigdy nie pojawiały się tu zachodnie sztormy. – wymamrotał hrabia, patrząc nieprzytomnym wzrokiem na ludzi wyciągających szczątki wraku z morza. – Nie przypadkiem ta burza uderzyła właśnie w nas i roztrzaskała o skały okręt, który był naszą jedyną drogą ucieczki. Ucieczka? Jestem wszak schwyty w pułapkę, jak szczur – tak przecież miało być. Nie, my wszyscy jesteśmy jak uwięzione szczury ...

– Nie wiem o czym ty bredzisz! – warknął Zarono, szarpiąc wściekle wąsy. – Nie mogłem wyciągnąć z ciebie ani jednego sensownego słowa, odkąd ta płowowłosa dziewczka zdenerwowała cię poprzedniej nocy opowieścią o czarnym człowieku, który wyszedł z morza. Wiem jednak, że nie spędzę życia na tym przeklętym wybrzeżu. Dziesięciu moich ludzi poszło do Piekieł razem ze statkiem, ale mam jeszcze stu sześćdziesięciu. Ty masz następnych stu. W twoim forcie są narzędzia, a w lesie drewna pod dostatkiem. Zbudujemy statek. Zaraz nakażę ludziom ścinać drzewa, jak tylko wydobędą pozostałości z wody.

– To zajmie całe miesiące. – mamrotał Valenso.

– Cóż, a jak lepiej zapełnić sobie czas? Utknęliśmy tutaj i, jeśli nie zbudujemy statku, nigdy się nie wydostaniemy. Będziemy musieli zainstalować jakiś tartak, ale jak

Conan i Skarb Tranicosa

na razie nie znalazłem miejsca, które by się nadawało. Mam nadzieję, że sztorm rozerwał tego argosańskiego psa Strombanniego na kawałki! Podczas budowy statku, możemy odszukać łup starego Tranicosa.

– Nigdy nie ukończymy twojego okrętu. – odrzekł posepnie Valenso.

Zarono odwrócił się ku niemu gniewnie.

– Czy ty wreszcie zaczniesz gadać z sensem?! Kim jest ten przeklęty czarny człowiek?

– Zaiste przeklęty. – odparł Valenso, patrząc się w morze. – Cienie mej splamionej szkarłatem przeszłości, powstały z Piekieł, by mnie tam zaciągnąć. Z jego powodu umknąłem z Zingary, mając nadzieję na zgubienie go w bezkresie oceanu. Ale powinienem był wiedzieć, że w końcu mnie wywęszy.

– Jeśli ten mężczyzna wylądował na brzegu, to musi ukrywać się gdzieś w lesie.

– wrzasnął Zarono. – Przeczyszemy las i wykurzymy go.

Valenso zaśmiał się chrapliwie.

– Łatwiej już znaleźć cień dryfujący przed chmurą, która skrywa księżyc, albo wymacywać po ciemku czarną żmiję, lub odszukać mgłę, która przemyka się o północy po moczarach.

Zarono rzucił mu niepewne spojrzenie, wyraźnie wątpiąc w jego zdrowie psychiczne.

– Kim jest ten człowiek? Daj spokój z dwuznacznościami.

– Cieniem mojego szalonego okrucieństwa i ambicji, horrorem powstałym z przeszłości, człowiekiem nie z krwi i kości, tylko ...

– Żagiel na horyzoncie! – zawołał obserwator na północnym cyplu.

Zarono odwrócił się i jego głos zaniósł się na wietrze:

– Wiesz kto to?

– Tak jest! – posłyszeli niewyraźną odpowiedź. – To Szkarłatna Dłoń!

Zarono zaklął jak szewc.

– Strombanni! Diabły radzą sobie po swojemu! Jak on zdołał przeżyć ten sztorm? – Głos bukaniera uniósł się do krzyku, który słyhać było już na całej plaży. – Z powrotem do fortu, psy!

Conan i Skarb Tranicosa

Zanim Szkarłatna Dłoń, nieco sfatygowana, opłynęła cypel, plaża się wyludniła, a palisada migotała odbłaskami hełmów i jaskrawymi szarfami. Bukanierzy przyjęli ten wymuszony okolicznościami sojusz z łatwością charakterystyczną dla awanturników, a żołnierze hrabiego z apatią cechującą chłopów.

Zarono zgrzytnął zębami, gdy szalupa zawinęła spokojnie do zatoki, po czym ujrzał żółto-brązową głowę swego rywala po fachu. Łódź przycumowała i Strombanni ruszył samotnie do fortu.

W pewnej odległości zatrzymał się jednak i ryknął jak bawół, a jego głos rozległ się wyraźnie w ciszy poranka:

– Ahoj tam, w forcie! Będę paktował!

– A czemu, na Piekło, miałbyś nie paktować! – warknął Zarono.

– Ostatnim razem, gdy przyszedłem tu pod pokojową flagą, strzała przebiła mój napierśnik! – wrzasnął pirat.

– Sameś się o to prosił. – odrzekł Valenso. – Dałem ci wyraźne ostrzeżenie, byś się stąd zabierał.

– A teraz chcę obietnicy, że to się nie powtórzy!

– Masz moje słowo! – zakrzyknął Zarono z sardonicznym uśmiechem.

– Zaraza z twoim słowem, zingarski psie! Chcę obietnicy Valensa.

Te słowa przywróciły hrabiemu nieco szlacheckiej godności. W jego głosie brzmiała nutka wyniosłości, gdy odpowiadał:

– Podejdz, ale trzymaj swoich ludzi z dala. Nie będziemy do ciebie strzelać.

– To mi wystarczy. – odrzekł natychmiast Strombanni. – Jakie by nie były grzechy Korzetty, można wierzyć w jego słowo.

Podszedł bliżej i zatrzymał się pod bramą, śmiejąc się w pociemniałą z nienawiści twarz Zarono:

– No, Zarono, – drażnił się – teraz jesteś o statek biedniejszy, niż gdy widziałem cię ostatnim razem! Ale wy, Zingarczycy, nigdy nie byliście żeglarzami.

– Jak zdołałeś uchować swój okręt, ty messantyjska, rynsztokowa męto? – odgryzł się bukanier.

Conan i Skarb Tranicosa

– Kilka mil na północ jest zatoczka, osłonięta od morza przez wysoki półwysep, który przełamał podmuch wichru. – odparł Strombanni. – Kotwiczylem za nim. Cumy skrzypiały, ale utrzymały mnie z dala od lądu.

Zarono skrzywił się ponuro. Valenso nie rzekł ani słowa. Nie wiedział o tej zatoczce, gdyż niewiele interesował się badaniem swych nowych ziem. Lęk przed Piktami, brak ciekawości i konieczność wykorzystywania ludzi do ich pracy trzymała ich wszystkich blisko fortu.

– Przybyłem się targować. – rzekł swobodnie Strombanni.

– Z tobą możemy się targować tylko na ciosy mieczem. – warknął Zarono.

– Nie sądzę. – wyszczerzył się Strombanni. – odsłoniłeś swoje zamiary, gdy zamordowałeś Galacusa, mojego pierwszego oficera i obrabowałeś go. Do dzisiejszego ranka sądziłem, że to Valenso ma skarb Tranicosa, ale jeśli któryś z was by go miał, nie trudzilibyście się śledzeniem mnie i mordowaniem mego człowieka, żeby zdobyć mapę.

– Mapę? – krzyknął Zarono, sztywniejąc.

– Och, nie pogrywaj ze mną! – zaśmiał się Strombanni, ale w jego niebieskich oczach zapalał gniew. – Wiem, że ją masz. Piktowie nie noszą butów!

– Ale ... – zaczął hrabia, skołowany, po czym natychmiast zamilkł, gdy Zarono wbił mu łokieć między żebra.

– A jeśli mamy mapę, – rzekł Zarono – to co mógłbyś mieć, czego my byśmy chcieli?

– Pozwólcie mi wejść do fortu. – zaproponował Strombanni. – Wtedy pogadamy.

Nie powiedział nic więcej, ale gdy zerknął znacząco po ludziach przyglądających mu się z wałów i tak wszyscy słuchacze go zrozumieli. Strombanni miał okręt. Ten fakt liczył się w każdych negocjacjach czy bitwie. Jednak, niezależnie od tego, kto nim dowodził, statek zdoła unieść tylko ograniczoną liczbę pasażerów. Ktokolwiek na nim odpłynie, pozostali zostaną na lądzie. Fala napiętej spekulacji przebiegła przez milczący tłum na palisadzie.

Conan i Skarb Tranicosa

– Twoi ludzie zostaną na swoich miejscach. – ostrzegł Zaron, pokazując na łódź wciągana na plażę i na statek zakotwiczony w zatoce.

– Dobrze. Ale nie myśl nawet o schwytaniu mnie i trzymaniu jako zakładnika! – zaśmiał się ponuro. – Chcę obietnicy Valenso, że będę mógł opuścić fort żywy i nietknięty w ciągu godziny, niezależnie od rezultatów naszego porozumienia.

– Masz moje słowo. – odparł hrabia.

– W porządku zatem. Otwórzcie bramę i porozmawiajmy otwarcie.

Uchylono wrota, by za moment zamknąć je ponownie a przywódcy zniknęli z oczu. Ludzie z obu stron patrzyli na siebie w cichym skupieniu: jedni na palisadzie, drudzy rozłożeni przy swej szalupie, a między nimi szeroki pas żółtego piasku. Zaś na pełnym morzu, kołysała się karraka błyskająca stalowymi hełmami wzdłuż relingu.

Na szerokich schodach, powyżej wielkiego hallu, przykucnęły Belesa i Tina, nie zaprzatając uwagi mężczyzn. Oni zaś usiedli przy szerokim stole: Valenso, Galbro, Zaron i Strombanni. Poza nimi hall był pusty.

Strombanni wychylił wino jednym haustem i postawił na stole opróżniony kielich. Pozorna szczerłość bijąca z jego prostego oblicza, ustępowała miejsca błyskom okrucieństwa i zdrady w jego oczach. Mówił jednak otwarcie.

– Wszyscy pragniemy skarbu starego Tranicosa, ukrytego gdzieś w tej okolicy. – zaczął prosto z mostu. – Każdy z nas posiada coś, czego potrzebują inni. Valenso ma robotników, narzędzia, zaopatrzenie i warownię, chroniącą nas przed Piktami. Ty, Zaron masz moją mapę. A ja mam okręt.

– Jedno co chciałbym wiedzieć, – zauważył Zaron – to, jeśli przez te wszystkie lata miałeś mapę, czemuś wcześniej nie przyплыł po łup?

– Nie miałem jej. To ten pies, Zingelito, zadźgał nieszczęśnika w ciemnościach i ukraść mapę. Nie miał jednak, ani statku, ani załogi, więc zabrało mu ponad rok zdobycie ich. Gdy w końcu przybył tutaj, Piktowie przeszkodzili mu w lądowaniu, a jego ludzie zbuntowali się i zmusili do powrotu do Zingary. Jeden z nich skradł mu mapę i sprzedał mnie.

– To dlatego Zingelito rozpoznał tę zatokę. – mamrotał Valenso.

Conan i Skarb Tranicosa

– Czy ten pies cię tutaj zostawił, hrabio? – spytał Strombanni. – Mogłem się domyślić. Gdzie on teraz jest?

– Niewątpliwie w Piekło jako, że był bukanierem. Zarznęli go Piktowie, prawdopodobnie w czasie, gdy szukał w lesie skarbu.

– Dobrze! – ucieszył się Strombanni. – Cóż, nie wiem skąd wiedzieliście, że mój pierwszy oficer miał mapę. Ufałem mu, a ludzie ufali jemu bardziej, niż mnie, toteż powierzyłem mu ją. Ale tego ranka zapuścił się w głąb lądu z grupką innych i oddalił się od nich. Znaleźliśmy go przebitego mieczem, tuż przy plaży, a mapy nie było. Ludzie już byli gotowi oskarżyć mnie o to morderstwo, ale pokazałem głupcom ślady pozostawione na piasku przez zabójcę i dowiodłem, że moje stopy do nich nie pasują. Wiedziałem też, że to nikt z mojej załogi, bo żaden z nich nie nosił butów, które zostawiałyby takie ślady. A Piktowie w ogóle nie noszą butów. To musiał być Zingarczyk.

– Tak więc, macie mapę, ale nie macie skarbu. Gdybyście go mieli, nie wpuścilibyście mnie za bramę. Mam was tu przygwożdżonych w forcie. Nie możecie wyjść, żeby szukać skarbu, a nawet jeśli byście go w jakiś sposób odnaleźli, nie zdołacie go wywieźć, bo nie macie statku.

– A oto moja propozycja: Zarono, dasz mi mapę, a ty, Valenso, dostarczysz mi świeżego mięsa i innego zaopatrzenia. Moi ludzie są bliscy szkorbutu, po długiej podróży. W rewanżu wezmę was trzech, lady Belesę i jej dziewczynkę i wysadzę w pobliżu jakiegoś zingarskiego portu. Mogę też zostawić Zarono w okolicy jakiegoś punktu spotkań bukanierów, jeśli tak woli, gdyż niewątpliwie w Zingarze czeka go stryczek. I, by dobić targu, dam wam wszystkim porządny udział w skarbie.

Bukanier gładził w zamyśleniu swe wąsy. Wiedział, że Strombanni nie dotrzyma ani słowa z paktu, jeżeli dojdzie on do skutku. Zarono nawet nie brał po uwagę zgody na taką umowę. Jednakże brutalna odmowa skończyłaby się zapewne zbrojnym starciem. Gimnastykował teraz swój zręczny umysł w poszukiwaniu planu przechytrzenia pirata. Miał na okręt Strombanniego nie mniejszą ochotę, niż na zaginiony skarb.

Conan i Skarb Tranicosa

– A cóż przeszkodzi nam we wzięciu cię do niewoli i zmuszeniu twoich ludzi, by oddali nam statek w zamian za ciebie? – spytał wreszcie.

Strombanni zaśmiał się.

– Czy myślisz, że jestem głupcem? Moi ludzie dostali rozkazy, by podnieść kotwicę i odpłynąć, jeśli nie wrócę w ciągu godziny lub, jeśli będą podejrzewać zdradę. Nie oddadzą wam statku, choćbyście mnie na plaży obdarli żywcem ze skóry. Poza tym, mam słowo hrabiego.

– Moja przysięga to nie siano. – rzekł Valenso ponuro. – Dajże spokój z groźbami, Zaronie.

Zaronie nic nie odpowiedział. Jego umysł był całkowicie pochłonięty w obmyśleniu planu przejęcia okrętu Strombanniego i kontynuowania negocjacji bez zdradzania faktu, iż nie miał mapy. Zastanawiał się tylko, kto, na Mitrę, ją miał.

– Pozwól mi zabrać moich ludzi z tego niegościnnego wybrzeża. – zaczął potulnie. – Nie wolno mi opuścić moich wiernych towarzyszy ...

Strombanni parsknął.

– Czemu nie poprosisz mnie o mą szablę, by rozpruć mi bebechy? Opuścić twoich wiernych ... ha! Ty byś opuścił swojego własnego brata w spotkaniu z Diabłem, jeśli coś mógłbyś na tym zyskać. Nie! Nie wprowadzisz na mój pokład ludzi, żeby mieć możliwość buntu i przejęcia statku.

– Daj nam chociaż dzień, żeby to przemyśleć. – domagał się Zaronie, walcząc o czas.

Ciężka pięść Strombanniego grzmotnęła o stół, sprawiając, że wino zakołysało się w kielichach.

– Nie, na Mitrę! Dajcie mi odpowiedź natychmiast!

Zaronie stanął na równe nogi, a jego czarna wściekłość wyzwoliła się spod skrywanej przebiegłości.

– Ty barachański psie! Dam ci twą odpowiedź – prosto w bebech!

Odrzucił płaszcz i zacisnął dłoń na rękojeści swego miecza. Strombanni poderwał się z rykiem, odrzucając krzesło za siebie. Valenso podskoczył, rozkładając między nimi ręce, gdy stanęli naprzeciw siebie po obu stronach stołu, z zaciśniętymi

Conan i Skarb Tranicosa

zębami, na wpół obnażonymi mieczami i twarzami skrzywionymi we wściekłych grymasach.

– Panowie, zaprzestańcie! Zarono ma moją przysięgę...

– Cuchnące demony niech żrą twoją przysięgę! – warknął Zarono.

– Nie stawaj między nami, panie. – ryknął pirat, głosem ciężkim od żądy zabijania.

– Dałeś słowo, że nie zostanę zdradziecko pochwycony. Nie będzie pogwałceniem twej gwarancji, jeśli ten pies i ja skrzyżujemy miecze w równej walce.

–Nieźle powiedziane, Strom! – odezwał się głęboki, silny głos za nimi, wibrując z zadowolenia. Wszyscy obrócili się i otworzyli usta ze zdziwienia. Wyżej, na schodach, Belesa wydała mimo woli okrzyk zaskoczenia.

Zza kotary maskującej wejście do komnaty wyszedł mężczyzna i podszedł do stołu bez pośpiechu i wahania. Natychmiast zdominował zebranych tak, że wszyscy poczuli, jak sytuacja zmierza ku nowym i nieznanym rozwiązaniom.

Nieznamy był wyższy i potężniej zbudowany, niż pozostali awanturnicy. Jednak jak na swoją posturę, poruszał się ze zręcznością pantery w swych błyszczących, wysokich butach. Jego nogi opinały bryczesy z białego jedwabiu, a szeroka, błękitna kurta bez rękawów rozchyłała się ku górze, by odsłonić biel jedwabnej koszuli i szkarłatną szarfę otaczającą pas. Kurtka była przyozdobiona srebrnymi guzami w kształcie żółędzia, wyłożonymi wykończeniami na ramionach i brzegach oraz satynowym kołnierzem. Lakierowany kapelusz uzupełniał przestarzały wizerunek kostiumu sprzed niemal stu lat. Przy biodrze mężczyzny wisiała zaś ciężka szabla.

– Conan! – krzyknęli równocześnie obaj awanturnicy, a Valenso i Galbro wstrzymali oddech słysząc to imię.

– A któżby inny? – wielkolud podszedł do stołu, wyśmiewając sardonicznie ich zdziwienie.

– Ale, co ty tutaj robisz? – wyjąkał seneszał. – Jakże to, pojawiaasz się tu bez zaproszenia ani zapowiedzi?

Conan i Skarb Tranicosa

– Wspiąłem się na palisadę po wschodniej stronie, podczas gdy wy, głupcy, sprzecialiście się przy bramie. – odparł Conan, mówiąc językiem zingarskim, z barbarzyńskim akcentem. – Kto żyw w forcie wyginał szyję na zachód. Wszedłem do pałacu, gdy wpuszczaliście Strombanniego przez bramę. Od tamtej pory podsłuchiwałem z sąsiedniej komnaty.

– Myślałem, że nie żyjesz. – rzekł powoli Zaron. – Trzy lata temu, zniszczony kadłub twojego statku widziano na skalistym wybrzeżu, a o tobie jakikolwiek słuch zaginął.

– Nie zatonąłem wraz z moją załogą. – odparł Conan. – Trzeba by większego oceanu, niż ten, by mnie zatopić. Dopłynąłem do brzegu i spróbowałem życia najemnika w Czarnych Królestwach, a później walczyłem dla króla Aquilonii. Można by rzec, że stałem się szanowany. – wyszczerzył się w wilczym uśmiechu. – Przynajmniej do czasu ostatniej sprzeczki z tym osłem Numedidesem. A teraz do dzieła, panowie złodzieje.

Na schodach powyżej, Tina ścisnęła Belesę z podniecenia i wpatrywała się przez balustradę wytrzeszczonymi oczami.

– Conan! Pani, spójrz, to Conan! Och, popatrz!

Belesa patrzyła zauroczona, jakby miała przed sobą bohatera legend. Kto, spośród wszystkich nadmorskich krain nie słyszał okrutnych i krwawych opowieści o Conanie, dzikim rozbójniku, który był kiedyś kapitanem barachańskich piratów i jednym z największych postrachów morza? Ileż ballad wychwalało jego gwałtowne i szalone wyczyny! Tego mężczyzny nie można było nie zauważyć. Wkroczył na scenę niepowstrzymany, by postawić kolejny, decydujący element tej skomplikowanej rozgrywki. Pośród fascynacji. Zabarwionej przerażeniem instynkt kobiece Belesy podsunął jej inną zagadkę: jaki będzie stosunek nowo przybyłego do niej? Czy podobny do brutalnej obojętności Strombanniego, czy też do gwałtownego pożądania Zaron?

Valenso otrząsał się z szoku, po tym jak w ciągu ostatnich godzin z każdego kąta pałacu pojawiał się obcy. Wiedział, że Conan był Cymmerianinem, urodzonym i wychowanym na pustkowiach dalekiej północy, dzięki czemu przewyższał swymi

Conan i Skarb Tranicosa

fizycznymi możliwościami cywilizowanych ludzi. Nie wydawało się dziwne, że zdołał niepostrzeżenie wejść do fortu, ale Valenso zadrżał na myśl, że jego wyczyn mogą powtórzyć inni barbarzyńcy – na przykład, ciemni, niesłyszalni Piktowie.

– Czego tu chcesz? – zapytał hrabia. – Czyś przybył z morza?

– Przybyłem z lasu. – Conan pokazał głową na wschód.

– Żyłeś z Piktami? – spytał zimno Valenso.

W oczach Conana błysnął płonący gniew.

– Nawet Zingarczyk powinien wiedzieć, że nigdy nie było pokoju między Piktami i Cymmerianami, i nigdy nie będzie. – odrzekł stanowczo. – Wojna między nami jest starsza, niż świat. Gdybyś powiedział to jednemu z mych dzikich braci, skończyłbyś z rozplataną czaszką. Ale ja żyłem między wami, cywilizowanymi ludźmi, już dość długo, by zrozumieć waszą ignorancję i brak zwykłej uprzejmości. W brakiem ogłady domagacie się usprawiedliwień od człowieka, który staje u waszych drzwi po przejściu tysiąca mil w dziczy. To jednak nieważne. – odwrócił się do dwóch żeglarzy, którzy stali wpatrzeni w niego ponuro. – Z tego, co zasłyszałem, – rzekł do nich – wnoszę, że macie jakieś nieporozumienie odnośnie mapy.

– To nie twoja sprawa. – warknął Strombanni.

– Czy o to wam chodzi? – Conan skrzywił się złośliwie i wyciągnął zza pazuchy pognieciony przedmiot – kwadratowy pergamin, poznaczony brunatnymi liniami.

Strombanni skoczył gwałtownie, blednąc:

– Moja mapa! – wykrzyknął. – Skąd ją wzięłeś?!

– Od twojego pierwszego, Galacusa, po tym jak go zabiłem. – odparł Conan srodze ubawiony.

– Ty psie! – szalał Strombanni, odwracając się do Zarono. – Tyś nigdy nie miał tej mapy! Ty kłamco!

– Nigdy nie powiedziałem, że ją mam. – warknął Zarono. – Sameś się wprowadził w pole. Nie bądź głupcem. Conan jest sam. Gdyby miał swoją załogę, już dawno podciąłby nam gardła. Odbierzemy mu mapę.

– Nawet jej nie dotkniecie! – zaśmiał się gwałtownie Conan.

Conan i Skarb Tranicosa

Obaj mężczyźni skoczyli na niego, klnąc. Cymmerianin zaś, cofając się, zmiął pergamin i wrzucił do paleniska. Z niezrozumiałym skowytom Strombanni rzucił się na niego ale otrzymał cios, który rozłożył go pół-przytomnego na podłodze. Zarono śmignął mieczem, lecz zanim zdołał pchnąć, szabla Conana wybiła mu broń z ręki.

Zarono zachwiał się i oparł o stół, a w jego oczach szalało Piekło. Strombanni podniósł się ociężale z nieprzytomnym wzrokiem i krwią kapiącą z rozbitego ucha. Conan pochylił się lekko nad stołem, a jego wyciągnięty miecz dotykał lekko piersi hrabiego Valenso.

– Nie wołaj swych żołnierzy, hrabio. – powiedział miękko Cymmerianin. – Ani słowa z waszych ust – ani z twoich, psia mordko! – rzucił do Galbro, który nie zamierzał potęgować jego gniewu. – Mapa spłonęła na popiół, więc rozlew krwi nic wam nie da. Siadajcie, wszyscy.

Strombanni zawahał się, uczynił nieznaczny ruch ku rękojeści swej szabli, po czym wzruszył ramionami i opadł bezsilnie na krzesło. Inni podążyli za jego przykładem. Conan nadal stał, górując nad stołem, podczas gdy jego wrogowie spoglądali oczami pełnymi gorzkiej nienawiści.

– Targowaliście się. – zaczął. – To samo właśnie chciałem wam zaproponować.

– A co ty masz do zaoferowania? – parsknął Zarono.

– Tylko skarb Tranicosa.

– Coo?! – wszyscy czterej skoczyli na równe nogi, pochylając się ku niemu.

– Siadać! – ryknął Conan, uderzając szablą o ławę.

Opadli na krzesła, napięci i bladzi z podniecenia. Conan uśmiechnął się rozbawiony sensacją, jaką wzbudziły jego słowa i ciągnął dalej:

Tak! Znalazłem skarb, zanim znalazłem mapę. Oto dlaczego ją spaliłem. Nie potrzebuję jej, a nikt nigdy nie odnajdzie skarbu, jeżeli ja mu nie pokażę, gdzie on jest.

Wlepili w niego oczy pełne żądz mordy.

– Łzesz! – odparł Zarono, ale bez przekonania. – Raz już nas okłamałeś. Powiedziałeś, że przyszedłeś z lasu, ale utrzymujesz, że nie żyłeś z Piktami. Wszyscy wiedzą, że ten kraj to dzicz, zamieszkała tylko przez dzikusów. Najbliższe przyczółki cywilizacji to aquilońskie forty nad rzeką Gromową, setki mil na wschód.

Conan i Skarb Tranicosa

– Właśnie stamtąd przychodzę. – odparł Conan niewzruszenie. – Sądzę, że jestem pierwszym białym człowiekiem, który przebył piktyjską dziczą. Kiedy uciekłem z Aquilonii do Piktlandu, wpadłem na grupkę Piktów i zabiłem jednego, ale pocisk z procy powalił mnie bez czucia i te psy wzięły mnie żywcem. To byli ludzie–Wilki i sprzedali mnie Orłom w zamian za jednego ze swych wodzów, którego tamci schwytali. Orły poniosły mnie niemal sto mil na zachód, by spalić w wiosce swojego wodza, ale pewnej nocy zabiłem go, a także trzech, czy czterech innych i umknąłem.

– Nie mogłem zawrócić, gdyż byli tuż za mną i wciąż pędzili mnie na zachód. Kilka dni temu zgubiłem ich i, na Croma, miejsce, gdzie się ukryłem okazało się zaginionym skarbcem starego Tranicosa! Znalazłem wszystko: skrzynie z ubiorami i bronią – to stamtąd wzięłem sobie ubrania i oręż – sterty monet, szlachetnych kamieni i złotych ozdób, a pośrodku klejnoty Tothmekriego błyskające jak zamarzniete światło gwiazd! Do tego jeszcze stary Tranicos i jego jedenastu kapitanów siedziało tam wkoło hebanowej ławy, gapiąc się na te skarby, jakby robili to już od stu lat!

– Co?

– Tak! – zaśmiał się. – Tranicos zginął w środku swojego skarbcza, a z nim cała reszta! Ciało nie zgniło, ani nie rozpadły się w proch. Siedzieli tam w swoich wysokich butach, kurtach i lakierowanych kapeluszach, dzierżąc w sztywnych dłoniach puchary wina, jakby przyrośnięci tam od wieku!

– To niemożliwe! – wymamrotał nieswojo Strombanni, a Zaronno warknął:

– A jaka to różnica? Oto skarb, którego pragniemy. Dalej Conanie.

Conan usadził się przy stole, napełnił kielich i wypił duszkiem zanim się odezwał.

– Pierwsze wino, które piłem od czasu opuszczenia Aquilonii, na Croma! Te przekłete Orły tak mi deptały w lesie po piętach, że ledwo miałem czas, żeby przeżuć orzechy i korzonki, które znalazłem. Czasem chwytalem żaby i zjadałem je na surowo, bo nie śmiałem rozpalić ognia.

Jego niecierpliwi słuchacze zapewnili go brutalnie, że nie są zainteresowani jego dietetycznymi przygodami przed odnalezieniem skarbu.

Wyszczrzył się pogardliwie i kontynuował:

Conan i Skarb Tranicosa

– Cóż, po tym, jak wpadłem do jaskini, leżałem i odpoczywałem przez kilka dni, zastawiłem sidła na króliki, i pozwoliłem, by moje rany nieco się zagoiły. Ujrzałem dym nad zachodnim niebem, ale sądziłem, że to jakaś piktyjska wioska na plaży. Skała, na której leżałem znajdowała się niedaleko, ale jak się okazuje, skarb ukryto w miejscu, którego Piktowie unikają. Jeśli więc jakiś mnie szpiegował, to robił to z ukrycia.

– Ostatniej nocy ruszyłem na zachód, z zamiarem wyjścia na plażę kilka mil na północ od miejsca, z którego dobywał się dym. Byłem niedaleko od brzegu, gdy rozszalał się ten potężny sztorm. Ukryłem się za skałami i odczekałem, aż sztorm ustanie. Wtedy wspiąłem się na drzewo, by wypatrzeć Piktów, ale dostrzegłem stamtąd tylko karrakę Stroma na kotwicy i jego ludzi na brzegu. Szedłem właśnie w stronę obozu, gdy spotkałem Galacusa. Pchnąłem go mieczem, ponieważ była między nami stara zadra.

– A cóż on ci uczynił? – spytał Strombanni.

– Och, skradł kiedyś moją dziewczuchę, lata temu. Nie wiedziałbym, że ma mapę, gdyby nie próbował jej zjeść umierając.

– Oczywiście zorientowałem się co to jest, i rozważałem, jaki pożytek może mi przynieść, gdy nagle wy, psy, pojawiliście się i odnaleźliście zwłoki. Leżałem w krzakach kilka kroków od was, kiedy sprzeczałeś się ze swoimi ludźmi o to zabójstwo. Oceniłem, że nie nadszedł jeszcze czas, bym się ujawnił! – zaśmiał się na widok gniewu i rozdrażnienia na twarzy Strombanniego. – Cóż, kiedy leżałem tak, przysłuchując się waszym kłótniom, zorientowałem się, że Zarono i Valenso znajdowali się jakieś kilka mil na południe, na plaży. Więc, gdy usłyszałem, jak mówicie, że to Zarono musiał być mordercą i zabrał mapę oraz, że zamierzasz iść i paktować z nim, czyhając na okazję, by móc go podstępnie zabić i odebrać ten cenny skrawek...

– Ty psie! – warknął Zarono.

Choć poblady, Strombanni roześmiał się ubawiony:

– Czyś sądził, że zagram czysto z takim zdračliwym kundlem, jak ty? Proszę dalej, Conanie.

Conan i Skarb Tranicosa

Cymmerianin uśmiechnął się. Było jasne, że celowo podsycił ogień nienawiści między tymi dwoma.

– Później niewiele się działo. Wyszedłem spośród drzew prosto na fort, gdy wszyscy krzżeliście się na wybrzeżu i dotarłem tutaj przed nami. Wasze przypuszczenia, że sztorm zniszczył okręt Zarono, były zgodne z prawdą, ale z drugiej strony, przecież znaliście skalisty brzeg tej zatoki.

– Zatem tak wygląda sytuacja: ja mam skarb, Strom ma statek, Valenso ma zaopatrzenie. Na Croma, Zarono, nie wiem gdzie ciebie wcisnąć w ten układ, ale żeby zapobiec konfliktom, włączymy cię. Moja propozycja jest dość prosta.

– Podzielimy skarb na cztery części. Strom i ja odpłyniemy z naszymi udziałami na pokładzie Szkarłatnej Dłoni. Ty i Valenso weźmiecie swoją część i pozostaniecie panami na głuszy, albo zbudujecie statek z pni drzew, wolna wola.

Valenso mruknął, a Zarono zaklął siarczyście. Strombanni tylko się uśmiechnął.

– Czy jesteś aż takim głupcem, żeby wejść na pokład Szkarłatnej Dłoni sam na sam ze Strombannim? – parsknął Zarono. – Poderżnie ci gardło zanim znikniecie na horyzoncie!

Conan zaśmiał się w szczerym rozbawieniu:

– To jest tak, jak z wilkiem, owcą i kapustą. – przyznał. – Jak je wszystkie przenieść na drugi brzeg rzeki, żeby się nawzajem nie pozjadały?

– A to oczywiście pasuje do twojego Cymmeryjskiego poczucia humoru! – skwitował Zarono.

– Nie zostanę tutaj! – wydarł się Valenso z szalonym błyskiem w oku. – Skarb, czy nie skarb, ja muszę odpłynąć!

Conan spojrzał na niego spod przymrużonych powiek.

– A zatem, – rzekł – co powiecie na taki plan: dzielimy skarb, jak poprzednio. Później Strombanni odpływa z Zarono, Valenso i tymi ludźmi hrabiego, których sobie sam dobierze, pozostawiając mnie jako dowódcę fortu, wraz z resztą ludzi Valenso i wszystkimi kompanami Zarono. Zbuduję swój własny statek.

Zarono poblądł.

Conan i Skarb Tranicosa

– Mam wybór między pozostaniem na wygnaniu, albo opuszczeniem mej załogi i samotnym rejsiem na Szkarłatnej Dłoni, podczas którego poderzną mi gardło?

Śmiech Conana zabrzmiał wesoło w hallu, po czym barbarzyńca jowialnie klepnął Zarono w plecy, ignorując czarne, mordercze spojrzenie w oczach bukaniera.

– O to właśnie chodzi, Zarono! – rzucił. – Zostań tutaj, gdy Strom i ja odpłyniemy, albo płyn ze Strombannim, zostawiając mi swoich ludzi.

– Wolę już Zarono. – dodał szczerze Strombanni. – Ty byś zaraz zwrócił ludzi przeciwko mnie, Conanie, i poderznął mi gardło zanim dotarlibyśmy do Wysp Baracha.

Z bladej twarzy Zarono kapały krople potu.

– Ani ja, ani hrabia i jego bratanica nie dotrzemy do lądu żywi, jeśli pozeglujemy z tym diabłem. – powiedział. – Wszyscy jesteście teraz w mojej mocy. Moi ludzie otaczają pałac. Cóż powstrzyma mnie przed zarżnięciem was obu?

– Nic, a nic. – przyznał rozbawiony Conan. – Poza tym, że jeśli to zrobisz, ludzie Strombanniego odpłyną i zostawią cię samego na tym wybrzeżu, gdzie wkrótce Piktowie poderznąliby wam wszystkim gardła. Do tego jeszcze, jeśli mnie zabijesz, nigdy nie znajdziesz skarbu. A poza tym, rozłupię ci czaszkę aż do szczęki, jak tylko spróbujesz przywołać swych ludzi.

Conan uśmiechał się mówiąc, jakby bagatelizował sytuację, w której się znaleźli, ale nawet Belesa wiedziała, że nie były to puste groźby. Obnażona szabla leżała w poprzek jego kolan, a miecz Zarono został pod stołem, poza zasięgiem bukaniera. Galbro nie był wojownikiem, a Valenso wydawał się niezdolny do jakiegokolwiek decyzji, ani czynności.

– Tak jest! – dodał Strombanni z przekleństwem. – Nie będziemy dla was łatwą ofiarą. Zgadzam się z propozycją Conana. Co ty na to Valenso?

– Muszę opuścić to wybrzeże! – wyszeptał hrabia, gapiąc się nieprzytomnie. – Muszę się pośpieszyć ... muszę biec ... biec daleko ... szybko!

Strombanni zmarszczył się, zaskoczony dziwnym zachowaniem Valenso i odwrócił się do Zarono, szczerząc się okrutnie.

– A ty, Zarono?

Conan i Skarb Tranicosa

– A co mam rzec? – warknął Zaron. – Pozwól mi choć wziąć moich trzech oficerów i czterdziestu ludzi na pokład Szkarłatnej Dłoni, a umowa stoi.

– Oficerowie i trzydziestu ludzi!

– Dobrze więc.

– Stoi!

Obyło się bez uścisków dłoni, ani uroczystego wznoszenia toastów dla przypieczętowania paktu. Obaj kapitanowie patrzyli na siebie jak głodne wilki. Hrabia skubał wąsy drżącą ręką, zaabsorbowany własnymi ponurymi myślami. Conan przeciągnął się jak wielki kot, dopił wino i uśmiechnął do zebranych, złowrogim grymasem czającego się tygrysa.

Belesa wyczuła mordercze zamiary panujące w pomieszczeniu poniżej i zdradliwe plany kłębiące się w głowach każdego z mężczyzn. Żaden z nich nie miał nawet zamiaru dotrzymać obietnicy, z wyjątkiem Valenso. Każdy z awanturników zamierzał osiąść zarówno okręt, jak i cały skarb. Żadnego nie satysfakcjonowało mniej.

Ale jak? Co się roilo w tych trzech przebiegłych głowach? Belesa poczuła się przytłoczona i zgnębiona atmosferą nienawiści i zdrady. Cymmerianin, mimo swej gwałtownej szczerości, nie był bardziej subtelny, niż pozostali, a do tego jeszcze okrutniejszy. Jego panowanie nad sytuacją nie opierało się na sile fizycznej, ale mimo to gigantyczne ramiona i masywne kończyny wydawały się zbyt duże nawet w tak wielkim hallu. Była w nim jakaś żelazna żywotność, która spychała w cień twardey wigor obu awanturników.

– Zaprowadź nas do skarbu! – domagał się Zaron.

– Poczekajcie jeszcze chwilę. – odparł Conan. – Musimy utrzymać nasze siły w równowadze, by żaden z nas nie mógł uzyskać przewagi nad innymi. Zrobimy tak: wszyscy ludzie Stroma poza dwunastką wyjdą na brzeg, i rozbiją obóz na plaży. Ludzie Zaron wyjdą z portu i też rozłożą się z obozem, w zasięgu wzroku tamtych. W ten sposób załogi będą się mogły nawzajem obserwować i dopilnują, aby nikt nie puścił się za nami, gdy pójdziemy po skarb, i nie przygotował zasadzki. Pozostawieni na pokładzie Szkarłatnej Dłoni wprowadzą statek do zatoki, z dala od obu obozów.

Conan i Skarb Trancosa

Ludzie Valenso zostaną w forcie, ale nie zamkną bramy. Czy pójdzie pan z nami, hrabio?

– Do tego lasu? – Valenso zadrzał i otulił się ciasniej płaszczem. – Nie, za cały skarb Trancosa, nie!

– Dobrze. Będzie potrzeba jakiś trzydziestu ludzi, by wynieść skarb. Weźmiemy piętnastu z każdej załogi i wyruszymy jak najwcześniej.

Belesa, pilnie obserwując każdy niuans dramatu, który rozgrywał się poniżej, ujrzała, jak Zaroni i Strombanni wymieniali między sobą skryte spojrzenia, po czym szybko opuścili wzrok i unieśli kielichy, by zasłonić nimi ciemne zamiary odbijające się w ich oczach. Zrozumiała, jaki był słaby punkt planu Conana i zastanawiała się jak on mógł to przeoczyć. Może w swej arogancji był zbyt pewny siebie. Ale ona wiedziała, że nigdy nie wyjdzie żywy z lasu. Gdy znajdą skarb, pirat i bukanier stworzą rozbójniczy sojusz na potrzeby pozbycia się człowieka, którego obaj nie cierpieli. Wzdrygnęła się, dostrzegając aureolę śmierci wokół tego człowieka. Dziwnym, uczuciem było widzieć tego potężnego wojownika, siedzącego przy winie w pełnej kondycji i mocy, i wiedzieć, że czeka go krwawa śmierć.

Cała sytuacja nosiła brzemień ciemnych i krwawych intencji. Zaroni chętnie przechrzyłby i zabił Strombanniego, gdyby tylko mógł. Wiedziała też, że Strombanni już skazał Zaroni na śmierć, tak jak ją i jej wuja. Jeśli Zaroni pokonałby swych rywali, będą bezpieczni. Ale patrząc na bukaniera, który siedział tam żując wąsy, z całą ciemną stroną jego natury widoczną wyraźnie na twarzy, nie mogła zdecydować się, co ją bardziej odrażało – śmierć, czy on.

– Jak daleko to jest? – pytywał Strombanni.

– Jeśli wyruszymy w ciągu godziny, to powinniśmy wrócić przed północą. – odparł Conan. Opróżnił kielich, wstał, poprawił sobie pas i spojrzał na hrabiego. – Valenso, – zaczął – czyś ty postradał zmysły, by zabijać Pikta bez barw wojennych?

Valenso zamarł.

– O czym ty mówisz?

– Czy to znaczy, że nie wiesz, kto zabił piktyjskiego myśliwego zeszłej nocy w lesie?

Conan i Skarb Tranicosa

Hrabia potrząsnął głową.

– Żaden z moich ludzi nie był zeszłej nocy w lesie.

– Cóż, ktoś tam w każdym razie był. – mruknął Cymmerianin, szperając w kieszeni.

– Widziałem jego głowę nadzianą na drzewo nie opodal skraju lasu. Nie miał barw wojennych. Nie znalazłem śladów butów, z czego wnioskuję, że została tam zatknięta przed burzą. Ale było tam wiele innych znaków – ślady mokasynów na mokrej ziemi. Byli tam Piktowie i widzieli tę głowę. To ludzie z jakiegoś innego klanu, bo inaczej zdjęliby ją. Jeśli akurat mają pokój z klanem zabitego, popędzą do jego wioski, by o tym opowiedzieć.

– Może to oni go zarznęli. – zasugerował Valenso.

– Nie, to nie oni. Ale wiedzą kto, z tego samego powodu, co ja. Ten łańcuch był zawieszony na szyi odciętej głowy. Musiałeś być całkiem szalony, żeby w ten sposób zaznaczać swoje dzieło.

Wyciągnął coś i rzucił na stół przed hrabią, który podskoczył krztusząc się. Jego ręka powędrowała do gardła. Był to złoty pierścień z pieczęcią, który zwyczajowo nosił na szyi.

– Rozpoznałem pieczęć Korzettów. – ciągnął Conan. – Ale Piktom wystarczy sama obecność tego łańcucha, by wiedzieli, że dokonał tego ktoś obcy.

Valenso nie odpowiedział. Wpatrywał się w leżący na stole łańcuch, jakby to był jadowity wąż.

Conan skrzywił się pogardliwie i spojrzał pytająco na pozostałych. Zarono zrobił szybki gest, świadczący o tym, że hrabia miał nie po kolei w głowie. Conan schował swą szablę do pochwy i poprawił błyszczący kapelusz.

– Dobrze, ruszajmy. – zarządził.

Kapitanowie wypili swoje wino i wstali, poprawiając pasy z orężem. Zarono położył rękę na ramieniu Valenso i potrząsnął nim lekko. Hrabia wbił w niego tępy wzrok, po czym wstał i ruszył za innymi jak człowiek w transie, podzwaniając łańcuchem wiszącym mu w dłoni. Nie wszyscy jednak opuścili hall.

Conan i Skarb Tranicosa

Zapomniane w swej kryjówce na schodach Belesa i Tina patrzyły przez balustradę, jak Galbro puszcza wszystkich przodem i ociąga się, dopóki ciężkie drzwi nie zatrzasnęły się za nimi. Wtedy skoczył do kominka i przerzucił ostrożnie żarzące się węgle. Padł na kolana i przyglądał się czemuś przez długą chwilę. Wtem, wyprostował się i skrycie wymknął się z hallu przez drugie drzwi.

Tina szepnęła:

– Co Galbro znalazł w ogniu?

Belesa potrząsnęła głową, po czym, wiedzioną ciekawością, wstała i zeszła do pustego pomieszczenia. Chwilę później, klęczała już tam, gdzie przed chwilą był senezal i zobaczyła to, co i on ujrzał.

Były to zwęglone szczątki mapy, którą Conan wrzucił do paleniska. Byle podmuch mógł rozkruszyć ją na popiół, ale niewyraźne linie i kawałki wyrazów można było nadal rozpoznać. Nie zdołała nic odczytać, ale prześledziła kontur, który wyglądał jak szkic jakiejś skały lub wzgórza, otoczonego znaczkami przedstawiającymi gęste drzewa. Nie mogła z tego nic rozpoznać, ale sądząc po zachowaniu Galbro, on skojarzył to jakoś z fragmentem otoczenia, który był mu znany. Wiedziała, że senezal zapuszczał się w głąb lądu, dalej, niż jakikolwiek inny mieszkaniec fortu.

Grabież zmarłych

Warownia była dziwnie spokojna w południowym skwarze, który nastąpił po porannym sztormie. Głosy ludzi wewnątrz brzmiały jakby przyciszone, stłumione. Ten sam senny spokój panował na plaży, gdzie obozowały rywalizujące załogi uzbrojone i podejrzliwe, oddzielone od siebie jedynie kilkuset krokami nagiego piasku. Daleko w zatoce stała na kotwicy Szkarłatna Dłoń z garstką ludzi na pokładzie, gotowych, by umknąć spoza zasięgu wzroku przy najmniejszym nawet podejrzeniu zdrady. Karraka stanowiła główny atut Strombanniego, najlepszą gwarancję współpracy jego współników.

Conan i Skarb Tranicosa

Belesa zeszła po schodach i zatrzymała się na widok hrabiego Valenso siedzącego przy stole i obracającego w palcach rozerwany łańcuch. Spojrzała na niego bez cienia miłości, za to z dużym lękiem. Zmiana, jaka w nim zaszła była przerażająca. Wydawał się być zamknięty w jakimś posępnym świecie własnego umysłu, świecie rządzonym przez strach, który pozbawił go wszelkich ludzkich cech.

Conan sprytnie obmyślił sposób, by uniknąć, ze strony którejkolwiek z załóg zasadzki w lesie. Ale, zdaniem Belesy, nie zrobił nic by zabezpieczyć się przed Strombannim i Zarono. Zniknął w drzewach, prowadząc obu kapitanów i ich trzydziestu ludzi, a zingarska dziewczyna nie miała wątpliwości, że już nigdy nie ujrzy go żywego.

Tymczasem rzekła do hrabiego, głosem, który nawet jej wydał się napięty i ostry:

– Barbarzyńca powiódł kapitanów do lasu. Ci zaś, kiedy położą łapy na skarbie, natychmiast go zamordują. Ale gdy wrócą ze złotem, co wtedy? Czy mamy wejść z nimi na pokład? Czy możemy ufać Strombanniemu?

Valenso potrząsnął głową nieobecnie.

– Strombanni zabiłby nas tylko dla naszej części skarbu. Ale Zarono skrycie wyszeptał mi swe zamiary. Nie wejdziemy na pokład Szkarłatnej Dłoni, chyba że jako jej przywódcy. Zarono postara się, aby noc zastała drużynę poszukiwaczy w lesie, by byli zmuszeni nocować. Znajdzie sposób, by zamordować Strombanniego i jego ludzi we śnie. Wtedy bukanierzy przemkną się na plażę, a tuż przed świtem ja wyślę moich rybaków poza fort, żeby przejęli statek. Strombanni o tym nie pomyślał, Conan tym bardziej. Zarono i jego ludzie wyjdą z lasu i wraz z bukanierami obozującymi na plaży, napadną w ciemnościach na piratów. Ja w tym czasie wyprowadzę resztę moich ludzi, by dokończyć dzieła. Bez swego kapitana i wobec przewagi liczebnej piraci będą łatwym łupem dla mnie i Zarono. Następnie odpłyniemy statkiem Strombanniego z całym skarbem.

– A co ze mną? – spytała wyschniętymi ustami.

– Przyrzekłem cię Zarono. – odparł ostro. – Gdyby nie moja obietnica, nie zabrałby nas stąd.

Conan i Skarb Tranicosa

– Nigdy go nie poślubię. – powiedziała bezsilnie.

– Poślubisz. – odparł ponuro, bez najmniejszego nawet śladu współczucia.

Uniósł łańcuch tak, by odbił się w nim blask słońca, zagląającego przez okno. – Musiałem upuścić go na piasku. – wymamrotał. – Był już tak blisko, na plaży ...

– Nie upuściłeś go na plaży. – rzekła Belesa, głosem pozbawionym litości, takim jak jego własny, a jej serce zdawało się zamieniać w kamień. – Zerwałeś go sobie z szyi przypadkowo ostatniej nocy w tym hallu, gdy wychłostałeś Tinę. Widziałam, jak błyszczy na podłodze, zanim weszłam na górę.

Podniósł wzrok, a jego twarz poszarzała w potwornym lęku. Zaśmiała się gorzko, dostrzegając nieme pytanie w jego wybałuszonych oczach.

– Tak! Czarny człowiek! Był tutaj! W tym hallu! Musiał znaleźć łańcuch na podłodze. Strażnicy go nie widzieli, ale był u twoich drzwi zeszłej nocy. Widziałam go, kroczącego wzdłuż korytarza na piętrze.

Przez chwilę wydawało jej się, że padnie przed nią trupem ze strachu. Opadł na krzesło, a łańcuch wyslizgnął się z roztrzęsionych palców i upadł z brzękiem na stół.

– W pałacu! – wyszeptał. – A ja, głupiec, sądziłem, że kraty, bramy i uzbrojeni wartownicy zdołają go powstrzymać! Nie mogę od niego uciec, a teraz nawet nie mogę się bronić! Przy moich drzwiach! Przy samych drzwiach! – ta myśl owładnęła nim całkowicie. – Czemu nie wszedł do środka? – skrzeknął, rozdzierając koronki zdobiące kołnierz, zupełnie, jakby się w nich dusił. – Czemuż tego nie zakończył? Śniłem, że budzę się w mej ciemnej komnacie i widzę go górującego nade mną, a niebieskawy, piekielny ogień tańczy wokół jego głowy! Dlaczego ...

Paroksyzm minął, pozostawiając go roztrzęsionego i na wpół omdlałego.

– Rozumiem! – wysapał. – Bawi się mną, jak kot myszą. Zabicie mnie w mej komnacie zeszłej nocy byłoby zbyt łatwe, zbyt litościwe. Zniszczył więc statek, na którym mógłbym mu umknąć i zarznął tego Pikta, zostawiając na nim mój łańcuch tak, by dzicy myśleli, że ja jestem sprawcą mordu. Wszak wiele razy widzieli ten łańcuch na mej szyi.

– Ale dlaczego? Jakież diabelstwo kotłuje się w jego umyśle, jaki przebiegły i ohydny plan, którego żaden ludzki umysł nie zdoła pojąć, knuje ten demon?

Conan i Skarb Tranicosa

– Kim jest ten czarny człowiek? – spytała wreszcie Belesa, czując, jak mrozący strach pełźnie jej po grzbiecie.

– Demonem wyzwolonym przez moją chciwość i żądzę, stworzonym, by prześladować mnie po wsze czasy! – wyszeptał. Rozłożył swe długie, cienkie palce na stole i spojrział na nią pustymi, dziwnie błyszczącymi oczami, które wydawały nic nie widzieć, a tylko patrzeć przed siebie, przenikać przestrzeń, wprost ku jakiejś nieznannej zagładzie.

– W młodości miałem wroga na dworze. – rzekł, mówiąc bardziej do siebie, niż do niej. – Był to potężny człowiek, który stał między mną, a moimi ambicjami. W swym pragnieniu bogactwa i władzy, zwróciłem się o pomoc do człowieka zajmującego się ciemnymi sztukami – czarownika, który na moje żądanie, przywołał demona z zewnętrznych sfer istnienia. Zniszczył on i zabił mojego wroga. Ja zaś stawałem się coraz potężniejszy i nikt nie mógł się ze mną równać. Postanowiłem jednakże oszukać czarodzieja i pozbawić go zapłaty, którą każdy śmiertelnik musi ponieść, gdy przywołuje ciemne istoty dla swoich potrzeb.

– Nazywał się Thoth–Amon z Pierścienia, i był na wygnaniu ze swej rodzinnej Stygii. Umknął w czasie rządów króla Mentupherra, a kiedy ten umarł i Ctesphon wstąpił na tron z kości słoniowej w Luxurze, Thoth–Amon przypałał się do Kordawy, mimo że mógł już wracać do domu. Zaczął domagać się spłaty długu, który byłem mu winien. Ale zamiast, zgodnie z obietnicą, zapłacić mu połowę moich zysków, zadenuncjowałem go u mego króla i Thoth–Amon musiał pospiesznie i w ukryciu umykać do Stygii. Tam go spotkało łaskawe przyjęcie i obrósł w złoto i magiczną moc, aż w końcu stał się faktycznym władcą tej krainy.

– Dwa lata temu w Kordawie, doszły mnie słuchy, że Thoth–Amon zniknął ze swego zwyczajowego siedliska w Stygii. A później, pewnej nocy ujrzałem jego brązową, diabelską twarz zerkającą na mnie spośród cieni w mym zamkowym hallu.

– Nie była to jego materialna postać, a jedynie duch, wysłany, by mnie nękać. Tym razem nie miałem króla, który mógłby mnie ochronić, gdyż po śmierci Ferdrugo i ustanowieniu regencji, kraj, jak wiesz, popadł w wewnętrzny konflikt między szlacheckimi frakcjami. Zanim Thoth–Amon zdołał osobiście dotrzeć do Kordawy,

Conan i Skarb Tranicosa

odpłynąłem, by oddzielić się od niego morzem. On też podlega pewnym ograniczeniom, by tropić mnie przez ocean, musi pozostać w swej cielesnej postaci. Ale teraz ten demon, dzięki swym nieludzkim zdolnościom dopadł mnie nawet tutaj, w środku tej rozległej głuszy.

– Jest zbyt przebiegły, by dać się złapać lub zabić w sposób, jaki stosuje się przeciw zwykłym ludziom. Gdy się skryje, nikt nie zdoła go odnaleźć. Przemyka się w nocy, jak cień, nic sobie nie robiąc z krat i zamków. Sprawia, iż wartownicy zapadają w głęboki sen. Potrafi rozkazywać duchom powietrza, wężom z głębin i demonom ciemności. Może wywoływać sztormy, by zatapiać okręty i burzyć zamki. Miałem nadzieję, że ślad po mnie zatonie w błękitnych, szumiących falach, ale wytropił mnie, by domagać się swej zapłaty ...

Jego dziwne oczy błyszczały blado, gdy próbował przenikać nimi ściany, ku odległym, niewidzialnym horyzontom.

– Jeszcze go przechytrzę. – mamrotał. – Niech tylko powstrzyma atak jeszcze o dzisiejszą noc. Wtedy świt zastanie mnie na pokładzie statku, i znów oddzieli nas ocean.

– Ognie piekielne!

Conan zatrzymał się, patrząc w górę. Idący za nim żeglarze też przystanęli w dwóch ciasnych grupkach, z łukami w dłoniach i podejrzliwością na twarzach. Podążali starym szlakiem piktyjskich myśliwych, który prowadził na wschód. Choć uszli zaledwie jakieś trzydzieści kroków, plaży nie było już widać.

– O co chodzi? – spytał podejrzliwie Strombanni. – Czemu stajemy?

– Oślepień?! Patrz tam!

Z grubego konaru drzewa, który pochylał się nad ścieżką, szczyrzyła się do nich obcięta głowa. Ciemna malowana twarz, okolona gęstymi czarnymi włosami, z których nad lewym uchem zwisało pióro dzioboroźca.

– Zdjąłem tę głowę i schowałem w krzakach. – warknął Conan, uważnie obserwując las wokół nich. – Co za głupiec mógł zatknąć ją tam z powrotem? Wygląda na to, że ktoś z całych sił stara się sprowadzić Piktów prosto do fortu.

Conan i Skarb Tranicosa

Mężczyźni zerknęli po sobie ponuro, gdy kolejne podejrzenie wpadł do i tak syczącego już kotła. Conan wspiał się na drzewo, odczepił głowę i zaniósł ją w krzaki, by cisnąć ją do strumienia. Patrzył jak tonie.

– Piktowie, do których należy ten szlak, nie są z plemienia Dzioboroźców. – powiedział, wracając z gęstwy krzaków. – Dość długo żeglowałem wzdłuż tych wybrzeży, by wiedzieć co nieco o nadmorskich klanach. Jeśli prawidłowo odczytuję ślady ich mokasynów, to były Kormorany. Mam nadzieję, że są na wojennej ścieżce z Dzioboroźcami. Bo jeśli jest między nimi pokój, to poszli zapewne wprost do wioski Dzioboroźców, a z tego będą kłopoty. Nie wiem, jak daleko znajduje się ta wioska, ale jak tylko dowiedzą się o morderstwie, przylecą z lasu, jak wygłodniałe wilki. To jest najgorsza możliwa obelga dla Pikta – zabić mężczyznę, który nie jest w wojennych barwach, i jeszcze zatknąć jego głowę na drzewie, żeby zjadły ją sępy. Przekłete, dziwne rzeczy wyprawia się na tym wybrzeżu. Ale tak się zawsze dzieje, gdy cywilizowani ludzie trafiają do dziczy – wszyscy szaleją, jak w Piekło. Chodźcie.

Ludzie rozluźnili uściski na rękojeściach swych mieczy, a strzały trafiły z powrotem do kołczanów. Ruszyli dalej w głąb lasu. Jako ludzie morza, nawykli do falujących przestrzeni szarej wody, czuli się przytłoczeni tą tajemniczą, zieloną ścianą drzew i pnączy, które wciągały ich do środka. Ścieżka wiła się i skręcała, aż większość z nich całkiem straciła orientację i nie wiedziała nawet, z której strony pozostawili plażę.

Conan czuł się jednak nieswojo z innego powodu. Przypatrywał się uważnie śladom i wreszcie mruknął:

– Ktoś przechodził tędy niedawno. Nie wcześniej, niż godzinę przed nami. Ktoś w butach, nieobeznany z lasem. Czy to ten głupiec, który znalazł głowę Pikta i wsadził ją na drzewo? Nie, to nie mógł być on. Pod drzewem nie widziałem żadnych śladów. Któż to zatem mógł być? Nigdzie nie zauważyłem śladów, poza tymi, które należały do Piktów. Kim jest człowiek, podążający przed nami? Czy któryś z was, bękarty, wysłał w jakimś celu człowieka na szpicę?

Zarówno Strombanni, jak i Zarono głośno zaprotestowali takim pomówieniem, spoglądając przy tym na siebie. Żaden z nich nie dostrzegł znaków, które zauważył

Conan i Skarb Tranicosa

Conan – słabe ślady na łysym, wydeptanym szlaku były niewidoczne dla niewprawnych oczu.

Conan przyspieszył kroku, a awanturnicy podążyli za nim. Ich iskrzący się brak zaufania, podsycono nowymi płomieniami podejrzeń. Ścieżka tymczasem zawinęła ku północy, toteż Conan zszedł z niej i zaczął iść między drzewami w kierunku południowo-wschodnim. Wieczór wychodził powoli z ukrycia, gdy spoceni mężczyźni przedzierali się przez krzaki i przeskakiwali nad powalonymi kłodami. Strombanni, który natychmiast został w tyle wraz z Zaronem, mruknął:

– Myślisz, że wiedzie nas w pułapkę?

– Możliwe. – odparł bukanier. – W każdym razie, nigdy nie odnajdziemy drogi do morza, jeśli on nas tam nie zaprowadzi. – Zaron rzucił Strombanniemu znaczące spojrzenie.

– Wiem, co masz na myśli. – odrzekł pirat. – To może zmusić nas do zmiany planów.

Podejrzliwość narastała z każdym krokiem osiągając apogeum, gdy nagle wyszli z gęstego lasu i ujrzeli tuż przed sobą samotną turnię, strzelającą w górę z omszałej ziemi. Niewyraźna ścieżka, wiodąca na wschód, biegła spod drzew wzdłuż głązów i wiła się ku szczytowi skały w postaci kamiennych schodów, by urwać się na dużym skalnym występie blisko szczytu.

Conan zatrzymał się nagle wyglądał niczym jakiś dziwaczny olbrzym przystrojony w pirackie łaszki.

– Oto jest szlak, którym uciekłem przed Piktami z klanu Orłów. – rzekł. – Prowadzi w górę, do jaskini za tą dużą półką. W grocie znajdują się ciała Tranicosa i jego kapitanów oraz skarb skradziony Tothmekriemu. Ale jeszcze słowo, zanim wejdziemy na górę. Jeśli mnie tutaj zabijecie, nigdy nie odnajdziecie drogi do szlaku, którym przyszlismy z plaży. Znam was, żeglujący ludzie, w gęstwinie lasu jesteście bezradni. Oczywiście plaża jest na zachodzie, ale jeśli będziecie musieli przedzierać się przez płataninę drzew i pnączy, obciążeni dodatkowo łupem, zabierze wam to nie godziny, lecz dni. A nie sądzę, żeby te lasy były szczególnie przyjaźnie białym ludziom, szczególnie gdy Dzioborożce dowiedzą się o swym myśliwym.

Conan i Skarb Tranicosa

Zaśmiał się, widząc ich miny, którymi skwitowali fakt, iż tak łatwo przejrzał ich plany. Nie umknęła mu też inna myśl: „Niech barbarzyńca odnajdzie i zabezpieczy dla nich skarb, niech wyprowadzi ich z powrotem na szlak ku plaży, wtedy go zabiją.”

– Wszyscy zostajecie tutaj, poza Strombannim i Zarono. – zarządził Conan. – Nas trzech wystarczy, by przenieść skarb z jaskini.

Strombanni wyszczerzył się rozbawiony.

– Iść tam tylko, z tobą i Zarono? Masz mnie za głupca, czy co? Przynajmniej jeden mój człowiek idzie ze mną!

I wyznaczył swego bosmana, mocarnego giganta o srogiej twarzy, nagiego od szerokiego, skórzanego pasa w górę, ze złotymi kółkami w uszach i karminową szarfą opasującą głowę.

– A ze mną idzie mój kat! – ryknął Zarono. Zwrócił się do szczupłego złodzieja morskiego o twarzy przypominającej czaszkę powleczonej pergaminem, który targał na ramieniu obnażony, dwuręczny jatagan.

Conan wzruszył ramionami.

– Dobrze więc. Za mną.

Deptali mu niemalże po piętach, gdy wspinał się po stromej ścieżce i wchodził na półkę. Gdy zaś dotarł do niszy nie opodał i wszedł w nią, tłoczyli się tuż za nim, chciwie wciągając powietrze przez zęby na widok okutych w żelazo skrzyń, złożonych po obu stronach krótkiego tunelu.

– Dużo tu tego. – wskazał Conan lekceważąco. – Jedwabie, koronki, sukna, ozdoby, oręż – łupy z całych mórz południowych. Ale prawdziwy skarb znajduje się za tymi drzwiami.

Masywne wrota były częściowo otwarte. Conan przeraził się. Pamiętał, że zamknął je, zanim wyszedł z jaskini. Jednakże nie powiedział tego swym podnieconym kompanom, tylko odsunął się, robiąc im przejście.

Zajrzeli do szerokiej groty, oświetlonej dziwnym, błękitnym blaskiem, który prześwitywał przez, jakby zadymione, mgliste powietrze. Na środku stał wielki, hebanowy stół, a na wielkim krześle z wysokimi, które mogło kiedyś stać w zamku jakiegoś zingarskiego barona, siedziała olbrzymia figura, legendarna i fantastyczna.

Conan i Skarb Tranicosa

Oto Krwawy Tranicos, z głową opuszczoną na pierś i ręką nadal dzierżącą ozdobny puchar. Tranicos w swym lakierowanym kapeluszu, haftowanej złotem kurcie z guzikami z klejnotów, które migotały w niebieskawym ogniu, w długich, błyszczących butach i pończacym pasie, przewieszonym przez ramię i podtrzymującym miecz z osadzonym szlachetnym kamieniem w głowni.

Dookoła ławy zaś, siedziało jego jedenastu kapitanów, każdy z brodą opuszczoną na pierś. Błękitny płomień przesuwiał się po nich dziwacznymi refleksami świetlnymi, wypływając z niewiarygodnie wielkiego kamienia ustawionego na drobnym piedestale z kości słoniowej i wysyłając strzelające blaski zamrożonego ognia ze sterty fantastycznie ciętych klejnotów, które świeciły przed Tranicosem. Oto splądrowany skarb z Khemi, kamienie Tothmekriego! Świecełka, których wartość była większa, niż wszystkich pozostałych klejnotów świata razem wziętych!

Twarze Zarono i Strombanniego zbieleły w niebieskawym świetle. Zza ich ramion, bosman i kat gapili się głupawo.

– Wejdźcie i weźcie co chcecie. – zachęcił Conan, usuwając się z drogi.

Zarono i Strombanni z chciwością wymalowaną na twarzy minęli go, przepychając się nawzajem w pośpiechu. Ich podwładni ruszyli za nimi. Zarono kopnął drzwi ... i zatrzymał się w progu, na widok postaci na podłodze, która była wcześniej niewidoczna. Był to mężczyzna, leżący na brzuchu, z głową odgiętą do tyłu między łopatkami i twarzą wyrażającą grymas śmiertelnej agonii.

– Galbro! – wykrzyknął Zarono. – Martwy! Co ... – z nagłym podejrzeniem wystawił głowę za próg, po czym odwrócił się i wrzasnął: – W grocie czyha śmierć!

Już w trakcie jego krzyku, niebieska mgła zawirowała i skondensowała się. W tym samym czasie, Conan rzucił się całym ciężarem na czterech ludzi stłoczonych w drzwiach i pchnął ich wprost do zadymionej jaskini tak, jak to sobie zaplanował. Podejrzewając pułapkę, starali usunąć się jak najdalej od martwego człowieka i materializującego się demona. To sprawiło, że gwałtowne pchnięcie Conana nie przyniosło takiego efektu, jakiego by sobie życzył. Strombanni i Zarono potknęli się na progu i padli na kolana, bosman przewrócił się o ich nogi, a kat odbił się od ściany.

Conan i Skarb Tranicosa

Zanim Conan mógł dalej realizować swój bezwzględny zamiar wepchnięcia przewróconych mężczyzn do groty, by zatrzaskać drzwi i odczekać, aż nadnaturalny potwór dokończy dzieła, musiał obronić się przed atakiem spienionego kata, który jako pierwszy odzyskał równowagę i orientację.

Potężny cios dwuręcznego jatagana bukaniera chybił celu, gdyż Cymmerianin uskoczył, a wielkie ostrze uderzyło o kamienną skałę, śląc dookoła błękitne iskry. W następnej chwili, chuda, jak czaszka głowa potoczyła się po podłodze jaskini, oddzielona od ciała szablą Conana.

W ciągu ułamków sekund, które pochłonęła walka, bosman zdołał się podnieść i rzucić na Cymmerianina, zasypując go ciosami miecza, które powaliłyby każdego słabszego człowieka. Szabla zderzała się z szablą przy wtórze głośnego brzęku, który stawał się ogłuszający w wąskim tunelu.

Tymczasem dwaj kapitanowie, przerażeni tym, co znajdowało się w grocie, wycofali się za próg, tak szybko, że demon nie zdążył się całkowicie zmaterializować. Wydostali się z magicznej bariery i tym samym poza jego zasięg. Kiedy wstawali sięgając po miecze, monstrum znów rozproszyło się w niebieskiej mgle.

Conan wkładał całe swe siły w starcie z bosmanem, by pozbyć się tego przeciwnika, zanim nadejdzie dla niego pomoc. Bosman broczył krwią za każdym krokiem, gdy cofał się przed zaciekłym atakiem, wołając przy tym na swych towarzyszy. Conan nie zdążył jeszcze dokończyć dzieła, gdy obaj hersztowie rzucili się na niego z mieczami w dłoniach, przywołując swych ludzi.

Cymmerianin odbił się do tyłu i skoczył na półkę. Mimo, że mógłby pokonać tych trzech – a każdy z nich był sławnym szermierzem – nie chciał ryzykować schwytania przez piratów, którzy przybiegli na dźwięk walki.

Nie nadbiegali jednak z szybkością, jakiej mógłby się spodziewać. Byli oszołomieni wrzaskami dobywającymi się z groty, ale żaden z nich nie zamierzał rzucić się w górę ścieżki ze strachu przed zdradzieckim ciosem w plecy. Każda banda obserwowała sobie uważnie, ściskając oręż, niezdolne do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Gdy ujrzeli Cymmerianina na ścieżce, nadal się wahali. Kiedy tak stali z

Conan i Skarb Tranicosa

założonymi strzałami, Conan podbiegł do kamiennych schodów i wspiął się na sam szczyt, poza zasięg ich wzroku.

Kapitanowie wybiegli na występ skalny, szalejąc z wściekłości i wymachując mieczami. Ich ludzie, widząc, że przywódcy nie walczą ze sobą, przestali patrzeć na siebie złowrogo i oniemieli ze zdumienia.

– Ty psie! – krzyczał Zaron. – Chciałeś złapać nas w pułapkę i zamordować! Zdrajca!

Conan okrzyknął złośliwie z góry:

– A czegoście się spodziewali? Wy dwaj planowaliście poderżnąć mi gardło, gdy tylko odnalazłbym dla was skarb. Gdyby nie ten głupiec Galbro, zatrzasnąłbym was czterech i opowiedział później waszym ludziom, jak rzuciliście się bezmyślnie do środka, wprost ku zagładzie.

– A uśmierciwszy nas obu, wzięłbyś statek i cały skarb! – spienił się Strombanni.

– Tak jest! I część każdej załogi! Myślałem o powrocie na morze już od miesięcy, a to byłaby świetna okazja!

– To właśnie ślady Galbro widziałem na szlaku, choć nie wiem skąd ten idiota wiedział o jaskini, ani jak zamierzał sam wyciągnąć stamtąd łup.

– Ale sądząc z widoku jego ciała, weszlibyśmy prosto w śmiertelną pułapkę. – wymamrotał Zaron, a jego śniada twarz pozostała popielata.

– Co to było? – spytał Strombanni. – Jakaś trująca mgła?

– Nie, to splatało się jak żyjąca istota i przybierało kształt jakiegoś demonicznego potwora. To jakiś diabeł uwięziony zaklęciem w tej grocie.

– Co teraz zrobicie? – krzyknął sardonicznie ich ukryty prześladowca.

– No właśnie, co zrobimy? – spytał Zaron Strombanniego. – Nie możemy wszak wejść do jaskini ze skarbem.

– Nie możecie dostać się do skarbu. – zapewnił ich Conan ze swej kryjówki. – Demon was zadusi. Prawie mu się udało ze mną, gdy tam wlałem. Słuchajcie, a opowiem wam historię, którą Piktowie przekazują sobie, gdy wygasają ogniska.

Conan i Skarb Tranicosa

– Dawno temu, dwunastu dziwnych ludzi przybyło z morza. Napadli na piktyjską wioskę i wyrznęli wszystkich, poza kilkoma, którzy zdołali zbiec. Później, znaleźli tę jaskinię i złożyli w niej złoto i klejnoty. Ale szaman wymordowanych Piktów – jeden z ocalałych – odprawił czary i przywołał demona z jednego z niższych Piekieł. Swą czarnoksiężską mocą rozkazał demonowi, by ten wszedł do jaskini i udusił wszystkich ludzi, gdy siedzieli przy winie. Żeby diabeł nie prześladował i nie nękał Piktów, szaman zamknął go swą magią w wewnętrznej jaskini. Opowieść tę przekazywano sobie z klanu do klanu i teraz wszystkie plemiona unikają tego miejsca.

– Gdy wpełzłem tam, umykając przed Piktami–Orłami, przekonałem się, że legenda jest prawdziwa i dotyczy Tranicosa i jego ludzi. Skarbu starego Tranicosa strzeże śmierć!

– Dawaj tutaj naszych ludzi! – wściekał się Strombanni. – Wejdziemy tam i ściągniemy go na dół!

– Nie bądź głupcem! – warknął Zaron. – Czy sądzisz, że jakiś człowiek na ziemi wszedłby tam po tych schodkach tuż pod ostrze jego miecza? Ustawimy ludzi tutaj, to wystarczy, żeby naszpikować go strzałami, jeśli tylko śmie się pojawić. Ale jeszcze położymy łapę na tych klejnotach. On z pewnością ma jakiś plan dobrania się do łupu, bo inaczej nie sprowadziłby tu trzydziestu ludzi, żeby wynieśli skarby. Jeśli on mógłby tego dokonać, to my też możemy. Zegnijmy ostrze szabli, aby zrobić hak, przywiążemy do liny i zarzucimy na jedną z nóg tego stołu, a później podciągniemy do drzwi.

– Dobrze pomyślane, Zaron! – dobiegł ich złośliwy komentarz Conana. – Dokładnie o tym samym pomyślałem. Ale jak znajdziecie drogę do szlaku na plażę? Zanim sami szukając drogi, dotrzecie do piasków zdąży się ściemnić, a ja pójdę za wami i wybiję was w ciemnościach co do jednego, po kolei.

– To nie są puste przechwałki. – wymamrotał Strombanni. – On potrafi poruszać się i atakować w ciemności cicho i niezauważalnie jak duch. Jeśli zapoluje na nas w lesie, niewielu dotrze do plaży.

Conan i Skarb Tranicosa

– Więc zabijemy go tutaj. – zazgrzytał zębami Zarono. – Jedni będą w niego strzelać, podczas gdy reszta będzie się wspinać na szczyt. Jeśli nie trafią go nasze strzały, ktoś na pewno dosięgnie go mieczem. Słuchaj! Czemu on się śmieje?

– Bo słucham, jak martwi spiskują. – usłyszeli ponuro ubawionego Cymmerianina.

– Nie zważajcie na niego. – zakrzyknął Zarono. Podnosząc głos, zawołał ludzi, by przyłączyli się do niego i Strombanniego.

Żeglarze ruszyli stromym szlakiem, a jeden z nich próbował wykrzyzczeć pytanie. Równocześnie rozległ się dźwięk podobny do brzęczenia, jakby wściekłej osy, a w chwilę potem usłyszeli krótkie i tępe uderzenie. Bukanier otworzył usta i buchnęła mu z nich fala krwi. Upadł na kolana, ukazując czarne drzewce wystające spomiędzy łopatek. Okrzyk przerażenia jego towarzyszy dotarł na górę.

– Co się dzieje? – krzyknął Strombanni.

– Piktowie! – zawył pirat, podnosząc łuk i wypuszczając na ślepo pocisk. U jego boku, jakiś człowiek jęknął i upadł z gardłem przeszytym strzałą.

– Kryć się, głupcy! – wrzasnął Zarono. Ze swego punktu obserwacyjnego, wypatrzył barwne postacie przemykające się wśród krzaków. Jeden z żeglarzy padł na wijącej się ścieżce. Reszta skupiła się pośpiesznie pomiędzy skałami u podnóża turni. Kryli się niezręcznie, nie przyzwyczajeni do tego rodzaju walki. Strzały śmigały zza krzaków, roztrzaskując się w drzazgi o kamienie. Ludzie na półce skalnej przywarli brzuchami do ziemi.

– Jesteśmy w pułapce – rzekł Strombanni, poblady. Zuchwały ponad miarę na pokładzie okrętu, w tej cichej, dzikiej bitwie powoli tracił opanowanie.

– Conan powiedział, że lękają się tej skały. – odrzekł Zarono. – Gdy zapadnie zmrok, nasi ludzie muszą wspiąć się na górę. Utrzymamy tę turnię. Piktowie tu po nas nie wejdą.

– Tak jest! – skomentował Conan z góry. – Nie będą wspinać się na półkę, by was dostać. Po prostu okrążą was i przetrzymają, dopóki nie popadacie z głodu i pragnienia.

– Mówi prawdę. – przyznał bezradnie Zarono. – Co zatem mamy zrobić?

Conan i Skarb Tranicosa

– Pogodzić się z nim. – wymamrotał Strombanni. Jeśli ktokolwiek może wydostać nas z tego łąjna, to właśnie on. Wystarczy nam czasu, żeby później poderżnąć mu gardło. – podnosząc głos, zawołał: – Conanie, zapomnijmy o naszym zatargu, na jakiś czas. Tkwisz w tym tak samo jak my. Chodź tu na dół i pomóż nam.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – odparł Cymmerianin. – Muszę tylko poczekać do zmroku, zejść po drugiej stronie skały i wtopić się w las. Mogę przemknąć się przez piktyjskie okrażenie, wrócić do fortu i powiedzieć im, że zostaliście zabici przez dzikusów – co wkrótce okaże się prawdą!

Zarono i Strombanni spojrzeli na siebie bladzi i milczący.

– Ale tego nie uczynię! – ryknął Conan. – Nie dlatego, że tak was uwielbiam, wy zdradzieckie psy! Po prostu nie zostawiłbym białych ludzi, nawet mych wrogów, na pastwę Piktów.

Czarna, zmierzwiona grzywa Cymmerianina wychyliła się zza krawędzi skały:

– A teraz słuchajcie uważnie: Tam na dole, to tylko mała banda. Widziałem, jak się przekradali przez krzaki chwilę temu. W każdym razie, gdyby było ich więcej, wszyscy ludzie u podnóża turni dawno by już nie żyli. Myślę, że to grupka szybkonożnych młodzików, wysłana na zwiady przed głównym oddziałem wojennym. Mieli odciąć nas od plaży. Jestem pewien, że znacznie większa banda zbliża się już do nas z którejś strony.

– Rozstawili się wokół zachodniej ściany wzgórza, ale nie sądzę, żeby było ich wielu po wschodniej stronie. Tam właśnie zejść na dół, przemknę się do lasu i okrążę ich. Tymczasem wy, zejźcie ze skały i dołączcie do swoich ludzi. Każcie im opuścić łuki i dobyć mieczy. Gdy usłyszycie mój krzyk, pędźcie co sił ku drzewom na zachód od turni.

– A co ze skarbem?

– Zaraza ze skarbem! Będziemy mieli szczęście, jeśli zachowamy głowy na karkach.

Okolona czernią włosów głowa zniknęła. Nasłuchiwali odgłosów schodzenia w dół po niemal gładkiej, wschodniej ścianie, ale nic nie usłyszeli. Ze wschodu nie dochodził nawet najcichszy szmer. Strzały już nie roztrzaskiwały się o kamienie, za

Conan i Skarb Tranicosa

którymi znaleźli schronienie żeglarze, jednakże wszyscy mieli świadomość, że okrutne, czarne oczy ani na chwilę nie przestały ich obserwować z morderczą cierpliwością.

Strombanni, Zarono i ranny bosman jęli ostrożnie schodzić po wijącej się, stromej ścieżce. Byli już w połowie drogi, gdy wokół nich zaczęły świstać strzały. Bosman zawył i potoczył się bezwładnie na dół, trafiony w serce. Groty pękały na hełmach i napierśnikach dowódców, gdy, z trudem opanowując panikę, pośpiesznie zbiegali ścieżką. Dotarli do podnóża góry i padli na ziemię, ciężko sapiąc i klnąc bez tchu.

– Czy to kolejna sztuczka Conana? – spytał Zarono oskarżająco.

– Możemy mu teraz zaufać. – zapewnił Strombanni. – Ci barbarzyńcy przestrzegają swego szczególnego kodeksu honorowego. Conan nigdy nie zostawiłby ludzi tego samego koloru skóry na łasce rzeźników innej rasy. Pomoże nam uporać się z Piktami, mimo, że sam również zamierza nas zabić.

Nagle mrozący krew w żyłach okrzyk przeciął ciszę. Nadszedł spośród drzew na zachodzie. Równocześnie jakiś przedmiot wyleciał szeroki łukiem znad lasu, upadł i potoczył się, uderzając o kamienie. Była to odcięta ludzka głowa, z przerażająco pomalowaną twarzą, zastygłą w śmiertelnym grymasie.

– Sygnał Conana! – ryknął Strombanni, a zdesperowani awanturnicy poderwali się zza skał i ruszyli pędem w kierunku drzew.

Strzały śmignęły z krzaków, wycelowane na chybił trafił. Jedyne trzy z nich dosięgły celu. Ludzie morza przedarli się przez liściastą zasłonę i wpadli na nagie, barwne postacie, które wyłoniły się nagle z mroku przed nimi. Przez moment słychać było tylko mordercze sapania i odgłosy zacieklej walki wręcz. Szable cięły wojenne toporki, obute stopy tratowały nagie ciała, a boscie nogi Piktów śmigały w ucieczce przez krzaki. Ocalali z błyskawicznej jatki umykali w popłochu, pozostawiając za sobą siedem nieruchomych, pomalowanych zwłok rozciągniętych na zakrwawionych liściach, pokrywających ziemię. Nieco dalej w gęstwinie, dało się słyszeć odgłosy jakiegoś zamieszania i świstającą w powietrzu szablę. W następnym momencie wszystko ucichło i ukazał się Conan. Jego lakierowany kapelusz zniknął, podarta kurta zwisała bezładnie, a w dłoni tkwił nagi miecz.

Conan i Skarb Tranicosa

– Co teraz? – spytał Zorano. Wiedział, że ich szarża odniosła sukces tylko dzięki atakowi Conana, który rzucając się na tyły Piktów zapewnił im przewagę przez zaskoczenie i dezorientowanie malowanych ludzi. Jednakże gdy Conan przeszył szablą jednego z bukanierów, który zwijał się na ziemi ze zwichnięty biodrem, Zorano zaklął wściekle.

– Nie możemy go zabrać ze sobą. – mruknął Cymmerianin. – A pozostawienie go tu żywego, na pastwę Piktów, nie byłoby uprzejmością z naszej strony, zapewniam was. Chodźcie!

Ruszyli za nim stłoczeni, wprost przez płataninę gałęzi. Samotnie błądzili by wśród krzaków całe godziny, zanim odnaleźliby szlak wiodący na plażę – jeśli w ogóle by go znaleźli. Conan prowadził ich bezbłędnie, zupełnie jakby podążał wzdłuż niewidzialnej ścieżki. Morscy rozbójnicy krzyknęli z ulgą, gdy wreszcie wyszli na wydeptany szlak biegnący na zachód.

– Głupcze! – Conan ucapił za ramię pirata, który poderwał się do biegu i cisnął nim z powrotem w grupę kompanów. – Serce wyrwałoby ci się z piersi i padłbyś bez tchu za jakieś tysiąc kroków. Jesteśmy całe mile od plaży. Spokojnie, równym rytmem. Możliwe, że będziemy musieli ostro przyspieszyć na ostatnim odcinku, zachowajcie więc na to trochę tchu. No, dalej, ruszamy!

Puścił się wzdłuż szlaku równym truchtem. Żeglarze poszli za jego przykładem, dostosowując swoje tempo do niego.

Słońce dotykało już fal zachodniego oceanu. Tina stała w oknie, z którego razem z Belesą obserwowały sztorm.

– Zachodzące słońce zamienia ocean w krew. – zauważyła. – Żagiel karraki wygląda jak biały pyłek na karminowych wodach. Zaś lasy spowiły już gęste cienie.

– A co robią żeglarze na plaży? – spytała od niechcienia Belesa. Leżała wyciągnięta na łożu, z zamkniętymi oczami i dłońmi splecionymi za głową.

– Oba obozy przygotowują kolację. – opisała Tina. – Gromadzą wyrzucone na brzeg drzewo i rozpalają ogniska. Słyszę jak wołają do siebie nawzajem ... a to co takiego?

Conan i Skarb Tranicosa

Nagle napięcie w głosie dziewczyny sprawiło, że Belesa podniosła się raptownie. Tina chwyciła się parapetu, a jej twarz zbladła.

– Słuchaj! Wycie, daleko stąd, jakby wiele wilków!

– Wilki? – Belesa aż podskoczyła, a jakiś pierwotny strach ścisnął jej serce. – Wilki nie polują w stadach o tej porze roku ...

– Och, popatrz! – krzyknęła dziewczyna, pokazując palcem. – Ludzie wybiegają z lasu!

W jednej chwili Belesa stała przy niej, wpatrując się wielkimi oczami w malutkie z tej odległości postaci, wybiegające spośród gęstwiny drzew.

– To żeglarze! – krzyknęła. – Z pustymi rękami! Widzę Zarono, ... Strombanniego,...

– A gdzie Conan? – wyszeptała dziewczyna. Belesa potrząsnęła głową.

– Och słuchaj, słuchaj! – zapiszczała Tina, przyciskając się do niej.

– Piktowie!

Wszyscy w forcie już to słyszeli – przeciągłe wycie, pełne szalonej zaciekłości i żądzy krwi, nadbiegające z głębin ciemnego lasu. Przerażliwy dźwięk wydawał się uderzać w dyszących ludzi, którzy zmierzali ku palisadzie.

– Pośpieszcie się! – wrzasnął Strombanni, a jego twarz wyglądała jak zużyta maska. – Depczą nam po piętach. Mój okręt ...

– To za daleko. – sapnął Zarono – Biegnijmy do warowni. Zobacz, ludzie w obozach nas dostrzegli!

Zamachał rękami w żalostnej pantomimie, z trudem łapiąc oddech, ale ludzie na plaży zrozumieli i rozpoznali znaczenie tego dzikiego wycia, wznoszącego się teraz do zwyczajnego crescendo. Żeglarze porzucili swe ogniska oraz kociołki pełne stawy i pobiegli ku wrotom do fortu. Napływali do środka, w czasie gdy zbiegowie z lasu okrążyli południowe wały i również wpadli w bramę, tworząc sapiący, histeryczny tłum, ledwie żywy ze zmęczenia. Bramę zatrzęsnięto w oszalałym pośpiechu i żeglarze jęli wspinać się na wały, by wspomóc rozstawionych tam żołnierzy.

Belesa, wybiegłszy na parter pałacu, zderzyła się nieomal z Zarono.

– Gdzie Conan?

Conan i Skarb Tranicosa

Bukancier wskazał kciukiem na czerniejące lasy. Jego pierś unosiła się i opadała ciężko, a po twarzy spływały mu strużki potu.

– Ich szpica deptała nam po piętach, gdy dobiegaliśmy do plaży. Zatrzymał się, by zabić kilku i dać nam czas na ucieczkę.

Odszedł chwiejnym krokiem ku wałom, gdzie zdążył się już rozstawić Strombanni. Valenso stał tam również, posepny, spowity w płaszcz, dziwnie milczący i skryty. Zachowywał się jak zaklęty.

– Patrzcie! – wrzasnął pirat ponad ogłuszającym wyciem niewidocznej jeszcze hordy. Z lasu wybiegł jakiś człowiek i pędził teraz przez pas otwartego pola.

– Conan! – skrzywił się wilczo Zaron. – Jesteśmy bezpieczni za palisadą, wiemy, gdzie jest skarb. Nie ma powodu, byśmy nie mogli go teraz naszpikować strzałami.

– Nie! – Strombanni chwycił jego ramię. – Będziemy potrzebować jego miecza, spójrz!

Tuż za szybkonogim Cymmerianinem, z lasu wypadła skowycząca horda nagich Piktów, całe setki malowanych wojowników. Ich strzały posypały się deszczem za barbarzyńcą. Jeszcze kilka skoków i Conan dotarł do wschodniej ściany palisady, odbił się niewiarygodnie mocno i chwyciwszy czubki zaostrzonych pali, przerzucił się nad nimi, trzymając w zaciśniętych zębach nagą szablę. W miejscu, gdzie przed chwilą się znajdował, zajeżyły się jadowicie drzewce strzał. Jego wspaniały płaszcz gdzieś zniknął, a biała koszula zwisała podarta i splamiona krwią.

– Zatrzymać ich! – ryknął, gdy tylko jego stopy dotknęły wałów po drugiej stronie. – Jeśli wleżą na ścianę, to już po nas!

Piraci, bukanierzy i żołnierze natychmiast odpowiedzieli i burza strzał i bełtów poleciała w kierunku nadciągającej bandy. Conan dostrzegł na dziedzińcu Belesę wraz z Tiną przytuloną do jej ramienia i nie szczędził im ostrych wymówek.

– Władcie do pałacu! – nakazał im w końcu. – Ich pociski spadną ponad wałami. Co wam mówiłem!?! – Czarny bełt wbił się w ziemię u stóp Belesy i zadrzał, jak głowa węża. Conan chwycił długi łuk i skoczył na wały. – Niech ktoś z was

Conan i Skarb Trancosa

przygotuje pochodnie! – zaryczał ponad zgiełkiem bitwy. – Nie dojrzymy ich w ciemności!

Słońce utonęło w krwawym kłębowisku. Daleko w zatoce, ludzie na pokładzie karraki odcięli linę cumowniczą i Szkarłatna Dłoń szybko zniknęła za karminowym horyzontem.

Ludzie lasu

Mimo nastania nocy pochodnie oświetlały plażę, odkrywając szaleństwo rozgrywającej się tam makabry. Na piasek wylegli nadzy, pomalowani ludzie i niczym nieprzerwana fala rozbijali się o palisadę, błyskając w rozkołysanym świetle białymi zębami i rozwścieczonymi ślepiami. W czarnych grzywach migotały pióra dzioborożców, kormoranów i morskich sokołów. Kilku wojowników, najdzikszych i najzacieklejszych, nosiło we włosach zęby rekinów wplecione między splątane loki. Nadmorskie plemiona zgromadziły się znad całego wybrzeża, by wygnać ze swej krainy bladokórych najeźdźców.

Sunęli niestrudzenie ku palisadzie, rozsiewając przed sobą burzę strzał, szarżując prosto na groty, które wybijały się w ich ciała. Od czasu do czasu zbliżali się na tyle blisko do wałów, by rąbać bramę toporkami i ciskać włócznie przez strzelnice. Za każdym razem jednak ludzki przyływ odsuwał się, nie mogąc wdrzeć głębiej i pozostawiając za sobą kolejne zwłoki. W takiej walce morscy awanturnicy radzili sobie najlepiej. Ich strzały czyniły spustoszenie w atakującej hordzie, a szable rąbały czarnych ludzi usiłujących wspiąć się na palisadę.

Ale mimo to, leśni ludzie powtarzali natarcie z całą upartą zaciekłością, jaka tkwiła w ich wojowniczych sercach.

– Oni są jak wściekłe psy! – wrzasnął Zarono, tnąc z góry ciemne ręce, które chwyciły tuż przed nim ostre szpikulce palisady.

Conan i Skarb Tranicosa

– Jeśli zdołamy utrzymać fort do świtu, stracą zapal. – mruknął Conan, rozłupując upierzoną głowę z zawodową precyzją. – Nie wytrzymają długotrwałego oblężenia. Spójrz, już trochę odpuszczają.

Szarża cofnęła się. Ludzie na wałach otarli pot z oczu, policzyli swych zmarłych i pozbierali ich oręż. Tymczasem Piktowie, niczym spragnione krwi wilki, odganiane od schwytej w pułapkę ofiary, umknęli poza krąg światła. Przed palisadą leżały tylko ciała zabitych.

– Czyżby uciekli? – Strombanni odrzucił do tyłu swe mokre, brązowe loki. Szabla w jego garści była wyszczerbiona i cała umazana krwią, podobnie zresztą, jak jego mocarne ramię.

– Oni tam ciągle są. – Conan skinął głową w kierunku ciemności, która otaczała krąg pochodni, czyniących ją jeszcze bardziej nieprzenikną. Dostrzegał poruszenia cieni, błyski oczu i czerwone odbicia od brązowych ostrzy.

– Jednak na razie trochę się zmęczyli. – dodał. – Postawcie warty na wałach, a reszta niech coś zje i ugasi pragnienie. Jest już po północy, a walczyliśmy wszak kilka godzin bez przerwy. Hej, Valenso, jak ci się podoba bitwa?

Hrabia w wyszczerbionym i poplamionym krwią hełmie i napierśniku podszedł ponuro do Conana i kapitanów. Zamiast odpowiedzi wymamrotał coś niezrozumiałego pod nosem. Wtem, z ciemności rozległ się głos – donośny, wyraźny głos, który zadźwięczał w całym forcie.

– Hrabio Valenso! Hrabio Valenso Korzetta! Czy mnie słyszysz? – wyraźnie dało się słyszeć stygijski akcent.

Conan usłyszał jak hrabia jęknął, jakby otrzymał właśnie śmiertelny cios. Valenso zachwiał się i chwycił palisady, a jego twarz zbladła w świetle pochodni. Głos kontynuował:

– Oto jestem, Thoth–Amon z Pierścienia! Czyś sądził, że znów zdołasz mi uciec? Już na to za późno! Wszystkie twe plany spełzną na niczym, gdyż tej nocy przyślę ci mego posłańca. To demon, który strzegł skarbu Tranicosa, ale ja uwolniłem go z jaskini i teraz wydaję mu rozkazy. Przyniesie ci zagładę, na którą dawno już

Conan i Skarb Tranicosa

zasłużyłeś, ty psie: śmierć, powolną, ciężką i haniebną. Ciekawe jak się z tego wykręcisz!

Mowa zakończyła się wybuchem melodyjnego śmiechu. Valenso wydał z siebie okrzyk przerażenia, zeskoczył z wałów i pobiegł, chwiejąc się do pałacu.

Gdy w walce nastąpił chwilowy zastój, Tina podpełzła do okna, spod którego musiały się usunąć, ze względu na spadające strzały. Cichutko obserwowała ludzi zbierających się przy ogniu. Belesa czytała list, który dostarczyła jej służąca. Oto jego treść:

Hrabia Valenso Korzetta, do swej bratanicy, Belesy, z pozdrowieniem:

W końcu dosięgła mnie moje przeznaczenie. Teraz, gdy zostało mi to oznajmione, a właściwie narzucone, chciałbym, abyś wiedziała, iż mam świadomość, że wykorzystałem cię w sposób niegodny honoru Korzettów. Uczyniłem tak, ponieważ okoliczności nie pozostawiły mi innego wyboru. I choć za późno już na przeprosiny, proszę, byś nie myślała o mnie zbyt srodze. Być może w swej łasce zdobędziesz się na to, by, przeżywszy tę noc zagłady, modlić się za zbrukaną duszę brata swego ojca. Tymczasem, radzę Ci, trzymaj się tej nocy z dala od wielkiego hallu, gdyż w przeciwnym razie los, który czeka mnie, może pochłoniąć również ciebie. Żegnaj.

Ręce Belesy drżały nerwowo, gdy czytała ten list. Chociaż nigdy nie kochała swego wuja, był to przejaw najbardziej ludzkiego uczucia, jakiego kiedykolwiek z jego strony zaznała.

Stojąca przy oknie Tina powiedziała:

– Powinno być więcej ludzi na murach. Sądysz, że czarny człowiek powróci?

Belesa, podchodząc do okna, aż zadrżała na tę myśl.

– Boję się. – szepnęła Tina. – Mam nadzieję, że Strombanni i Zaroni zginą.

– A Conan nie? – spytała zaciekawiona Belesa.

Conan i Skarb Tranicosa

– Conan by nas nie skrzywdził. – orzekła dziewczyna pewnie. – Żyje zgodnie ze swym barbarzyńskim kodeksem honorowym, a tamci są ludźmi, którzy stracili resztki honoru.

– Jesteś mądrzejsza, niż wskazują na to twoje lata, Tina. – odrzekła Belesa, z niejasnym uczuciem niepokoju, jaki zawsze wzbudzały w niej dojrzałe sądy dziewczyny.

– Spójrz! – Tina nagle zeszywniała. – Strażnik na południowej ścianie zniknął. Widziałam go przed chwilą na wałach, a teraz go nie ma.

Z ich okna, słupy palisady na południu były ledwie widoczne powyżej spadzistych dachów chałup, które stały równolegle do ściany na całej jej długości. Pomiedzy murami, a chatami znajdował się korytarz szeroki na jakieś trzy, cztery kroki. Wszystkie domostwa należały do chłopów.

– Gdzie mógł pójść wartownik? – szepnęła niepewnie Tina.

Belesa obserwowała koniec długiego rzędu chałup, który znajdował się niedaleko od bocznych wrót do pałacu. Mogłaby przysiąc, że widziała jakąś postać przemykającą się zza chałup do wnętrza pałacu. Czy był to strażnik, który pojawił się tak nagle, jak zniknął? Dlaczego opuścił posterunek i czemu tak skrycie wdarł się do pałacu? Nie wierzyła, że widziała jedynie strażnika i nieokreślony strach zmroził jej krew.

– Gdzie jest hrabia, Tina? – spytała.

– W wielkim hallu, pani. Siedzi tam samotnie przy stole, otulony płaszczem i pije wino, a twarz ma szarą, niczym śmierć.

– Idź i powiedz mu, co widziałyśmy. Będę dalej obserwować z okna, w razie, gdyby Piktowie przedarli się przez niestrzeżoną palisadę.

Tina pobiegła, a Belesa nagle przypomniała sobie ostrzeżenie zawarte w liście hrabiego, mówiące, aby unikała hallu. Wstała, słysząc drobne tupotanie stóp Tiny wzdłuż korytarza prowadzącego na schody.

Wtem, odezwał się nagły i przerażony krzyk pełen tak głębokiego strachu, że serce Belesy niemalże stanęło w miejscu. Wypadła z komnaty i wyskoczyła na korytarz prędzej niż jakakolwiek myśl. Zbiegła na dół po schodach ... i stanęła jak skamieniała.

Conan i Skarb Tranicosa

Nie krzyknęła tak jak Tina. Stała niezdolna do czegokolwiek. Poczwała Tinę przytulając się do niej i obejmując ją kurczowo ramionami. Ale to były jedyne normalne rzeczy w tej scenie pełnej czarnych koszmarów, szaleństwa i śmierci, zdominowanej przez potworny, człekokształtny cień, który rozpościerał ohydne łapska, rzucając złowrogi, piekielny blask.

Na zewnątrz, Strombanni potrząsnął głową na pytanie Conana.

– Nic nie słyszałem.

– Ale ja tak! – dzikie instynkty barbarzyńcy burzyły się w nim, był spięty, a oczy mu błyszczały. – Dźwięk nadszedł z południowej ściany, zza tamtych chat!

Dobytując szabli, podszedł do palisady. Ze swej pozycji nie mogli wyraźnie dostrzec południowej bramy i wystawionego tam wartownika, ukrytych za rzędem chałup. Strombanni ruszył za Conanem podziwiając jego postawę.

U wejścia do pustej przestrzeni między chatami, a murem Cymmerianin zatrzymał się podejrzliwie. Korytarz był słabo oświetlony pochodniami, które paliły się na każdym rogu palisady. A w połowie jego długości leżał na ziemi jakiś porzucony kształt.

– Bracus! – zaklął Strombanni, wybiegając naprzód, by przykleknąć przy martwej postaci. – Na Mitrę, poderżnięto mu gardło od ucha, do ucha!

Conan omiół wzrokiem wyludnioną okolicę. Znajdowali się tam tylko oni dwaj i martwy wartownik. Wyjrzał przez strzelnicę. Żaden żywy człowiek nie poruszył się w kręgu światła utworzonym przez pochodnie na zewnątrz fortu.

– Kto mógł to zrobić? – zastanowił się.

– Zarono! – podskoczył Strombanni, parszczając jak dziki kocur. Jego włosy zjeżyły się, a twarz wykrzywiła we wściekłym grymasie. – Nakazał swym złodziejom dźgać w plecy moich ludzi! Zamierza usunąć mnie zdradą! Diabły! Jestem osaczony z zewnątrz i od środka!

– Czekaj! – Conan wyciągnął powstrzymując rękę. – Nie sądzę, żeby Zarono

...

Conan i Skarb Tranicosa

Ale oszalały pirat uskoczył i popędził dookoła chat miotając klątwy. Cymmerianin pobiegł za nim, przeklinając. Strombanni kierował się prosto do ogniska, przy którym wyraźnie rysowała się wysoka i smukła postać Zarono. Herszt bukanierów wychylał kufel piwa.

Jakże się zdziwił, gdy nagle brutalnie wytrącono mu naczynie z dłoni, jego napierśnik zalała biała piana, a on sam został gwałtownie odwrócony, by stanąć twarzą w twarz z rozszalałym obliczem kapitana piratów.

– Ty morderczy psie! – ryknął Strombanni. – Zarzynasz mych ludzi za moimi plecami, podczas gdy walczą za twą plugawą skórę tak samo, jak za moją?!

Conan biegł ku nim jak najprędzej, ludzie wokoło przestali jeść i pić i zaczęli gapić się ze zdumieniem.

– O czym ty mówisz? – wycedził Zarono.

– Kazałeś swoim ludziom zabijać skrycie moich, gdy stoją na posterunkach! – krzyknął wściekły Barachańczyk.

– Łzesz! – żarząca się furia wybuchła teraz pełnym ogniem.

Z niezrozumiałym wyciem, Strombanni uniósł szablę i zamierzył się prosto w głowę bukaniera. Zarono sparował cios swym uzbrojonym, lewym przedramieniem, aż poszły iskry, po czym cofnął się dobywając miecza.

W jednej chwili kapitanowie walczyli jak wściekli, a ostrza ich szabel błyskały w świetle rozpalonych ognisk. Ich załogi zareagowały natychmiast i instynktownie. Rozległ się głęboki ryk, gdy bukanierzy i piraci podnieśli miecze przeciwko sobie. Ludzie na blankach porzucili swoje posterunki i zeskoczyli z wałów, zbrojni w oręż. W jednej chwili warownia zamieniła się w pole bitwy, gdzie stłoczeni, wyginający się ludzie tłukli i cięli na ślepo wszystko dookoła. Niektórzy z żołnierzy i chłopów zostali wciągnięci do bijatyki, a strażnicy na bramie odwrócili się i gapili na dół ze zdumieniem, zapominając o czyhającym na zewnątrz wrogu.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że na dziedzińcu walczyli już wszyscy, nim Conan zdołał osiągnąć oszalałych przywódców. Nie zważając na ich szable, odciągnął ich od siebie z taką siłą, że zatoczyli się do tyłu, a Zarono potknął się i upadł.

– Wy przekłeci głupcy! Chcecie rzucić nas na pożarcie Piktom?!

Conan i Skarb Trancosa

Strombanni pieniał się z wściekłości, a Zarono wołał swych ludzi, by mu pomogli. Jakiś bukanier podbiegł do Conana i chcąc zadać mu cięcie w głowę. Cymmerianin zawirował w pół-obrocie i złapał jego przedramię, zatrzymując cios w locie.

– Patrzcie, głupcy! – ryknął, wskazując kierunek mieczem.

Coś w jego głosie przyciągnęło uwagę walczących. Ludzie zamarli na swych pozycjach i odwrócili głowy we wskazaną stronę. Conan pokazywał żołnierza na wałach. Człowiek ten zataczał się, chwycił powietrze rękami i krztusił, próbując krzyczeć. Spadł głową do dołu, a gdy leżał na ziemi wszyscy ujrzeli czarne lotki wystające spomiędzy jego łopatek.

W warowni podniósł się alarmujący krzyk. Jednakże jeszcze głośniejszy okazał się zgiełk mrozących krew w żyłach wrzasków i potężny odgłos walenia toporów o bramę. Płonące żagwie pojawiły się nad palisadą i wbiły w belki, wzniecając cienkie chmurki błękitnego dymu. Wtem, zza rzędu chat przy południowej ścianie, pojawiły się zwinne i szybkie postacie, które przemykały przez dziedziniec.

– Piktowie są w środku! – ryknął Conan.

Jego okrzyk wywołał istne szaleństwo. Żeglarze zaniechali potyczki. Jedni rzucili się na dzikusów, inni skoczyli na blanki. Dzicy wylewali się zza chat i wypełniali podwórzec. Dało się słyszeć brzęk ich toporków o szable piratów.

Zarono usiłował się podnieść, gdy malowany dzikus podbiegł do niego od tyłu i rozplątał mu czaszkę toporem.

Conan, wraz z grupką żeglarzy skupionych za nim, walczył z najeźdźcami wewnątrz palisady, a Strombanni z większością swych ludzi wspiął się na wały i ciął czarne postaci nadciągające tamtędy. Piktowie, którzy podkradli się do fortu i otoczyli go niepostrzeżenie, gdy obrońcy walczyli między sobą, atakowali ze wszystkich stron równocześnie. Żołnierze Valenso stłoczyli się przy bramie i walczyli, by utrzymać ją przeciwko wyjącej watasze rozszałanych demonów, która waliła we wrota pniem drzewa.

Coraz więcej dzikich nadciągało zza południowych domów, pokonawszy nie strzeżoną tam ścianę. Strombanni i jego piraci zostali wyparci z innych części wałów i

Conan i Skarb Tranicosa

w następnej chwili cały dziedziniec zaroił się od nagich wojowników. Dziesiątkowali broniących się, zupełnie jak banda wilków. Bitwa zamieniła się w kotłujące wiry pomalowanych ludzi, obskakujących drapieżnie małe grupki zdesperowanych białych. Piktowie, żeglarze i żołnierze zasłali ziemię swymi ciałami, deptani i poniewierani przez stopy walczących.

Umazani krwią rozbójnicy wpadli do chat. Wokół rozległy się jęki i szlochy, gdy kobiety i dzieci zaczęły ginąć od czerwonych toporów. Na dźwięk tych żalosnych odgłosów, żołnierze opuścili bramę i w tej samej chwili Piktowie roztrzaskali ją i jęli również z tej strony wypełniać warownię. Chaty zajęły się ogniem.

– Do pałacu! – ryknął Conan, a chyba z tuzin ludzi ruszyło za nim, gdy bezlitośnie wyrąbywał sobie drogę pośród stada czarnych ludzi.

Strombanni stał u jego boku, młóćąc swą szablą jak cepem.

– Nie utrzymamy pałacu. – mruknął pirat.

– Dlaczego nie? – Conan był zbyt zajęty krwawą robotą, by choć zerknąć.

– Bo ... ugh! – nóż w ciemnej dłoni zatopił się głęboko w plecy Barachańczyka.

– Niech cię Diabli, psie! – Strombanni odwrócił się chwiejnie i rozplątał głowę dzikusa aż po żuchwę, po czym zatoczył się i padł na kolana, a z jego warg pociekła krew.

– Pałac płonie! – wychrypiał i poległ w kurzu.

Conan rzucił na niego szybkie spojrzenie. Ludzie, którzy za nim szli, leżeli teraz w kałużach własnej krwi. Pikt dokonujący żywota u stóp Cymmerianina był ostatnim, który zagradzał mu drogę do pałacu. Wszędzie dookoła bitwa wirowała i falowała, ale on stał przez moment zupełnie sam.

Znajdował się niedaleko południowej ściany. Kilka skoków i mógłby przesadzić palisadę. Upadłby miękko po drugiej stronie i zniknął w ciemnościach. Ale przypomniał sobie bezradne dziewczyny w pałacu, z którego unosiły się teraz kłęby czarnego dymu. Popędził do posiadłości.

Z wrót wytoczył się zdobny w pióra wódz i uniósł topór do ciosu, zaś z tyłu za biegnącym Cymmerianinem podążały grupki szybkonogich śmiałków. Nie zwalniając nawet na chwilę, Conan ciął szeroko z góry do dołu, a jego świszcząca szabla przeszła

Conan i Skarb Tranicosa

gładko przez dzierzzące topór ramię i odrąbała je razem z głową zajadłego Pikta. W następnej chwili przekroczył próg i zatrzasnął drzwi, zasłaniając się przed spadającymi ciosami, które łupnęły głucho w drewno.

Wielki hall wypełniały chmury dymu, przez które przedzierał się po omacku. Gdzieś w tym kłębowisku, łkała kobieta cichym, histerycznym szlochem pełnym przerażenia. Wszedł z oparów dymu i zatrzymał się zdezorientowany, patrząc na pomieszczenie.

Hall był słabo oświetlony i dodatkowo zaciemniony unoszącymi się oparami. Wielki, srebrny kandelabr leżał na ziemi, a świece pogasły. Jedyne, blade światło stanowił blask kominka i ściany, na której się znajdował, gdyż płomienie lizały ją od podłogi, aż po dymiące belki stropu. Na tle sinej poświaty Conan dostrzegł sylwetkę człowieka kołyszającą się powoli na końcu liny. Martwa twarz, wykrzywiona w nierozpoznawalnym grymasie, odwróciła się ku niemu, ale Conan wiedział już, że to hrabia Valenso, powieszony na swej własnej krokwi.

Jednakże w hallu było coś jeszcze. Conan ujrzał to przez kłęby dymu: potworna, czarna postać, otoczona aureolą piekielnego ognia. Jej kształt sprawiał wrażenie niemalże ludzkie, ale cień padający na płonąca ścianę, z pewnością nie pochodził z tego świata.

– Na Croma! – wymamrotał Conan, sparaliżowany myślą, że oto stanął twarzą w twarz z istotą, przeciwko której jego miecz był bezużyteczny. Zobaczył Belesę i Tinę, wtulone w siebie i skulone na schodach.

Czarne monstrum uniosło się z szeroko rozrzuconymi, potężnymi ramionami, rzucając gigantyczny cień na tle ognia. Z kłębow dymu wyjrzała ponura pół-ludzka twarz, demoniczna i złowroga. Conan zauważył osadzone blisko siebie rogi, wyszczerzone zębiska, szpiczaste uszy. Istota kroczyła ciężko ku niemu, a Cymmerianin przypomniał sobie w desperacji to co wiedziały już o demonach.

Obok niego leżał przewrócony, wielki kandelabr. Dawniej była to chluba zamku Korzettów, pięćdziesiąt funtów czystego srebra, misternie rzeźbionego w figury bogów i herosów. Conan chwycił go i podniósł wysoko nad głowę.

Conan i Skarb Tranicosa

– Srebro i ogień! – ryknął grzmiącym głosem i cisnął kandelabr z całym impetem, jaki drzemał w jego stalowych mięśniach. Pięćdziesiąt funtów srebra, wprawione w ruch niewiargodną siłą trzasnęło prosto w mocarną, czarną pierś. Nawet demon nie wytrzymałby uderzenia takim pociskiem. Potwór zachwiał się i wpadł prosto do kominka, który był teraz szalejącym morzem płomieni. Hallem wstrząsnął przerażający wrzask, okrzyk nieziemskiej istoty, schwytej nagle przez ziemską śmierć. Parapet kominka pękł i z wielkiego paleniska zaczęły spadać kamienie, skrywając drgające, czarne nogi, pożerane przez płomienie z żywiołową furją. Płonące belki odpadły od dachu i cały stos zajął się buchającym ogniem.

Gdy Conan dotarł do schodów, już podkładały się tam płomienie. Złapał jedną ręką omdlałą dziewczynę, a drugą chwycił Belesę. Pośród trzaskania ognia dochodziło go walenie toporów we frontowe wrota pałacu.

Rozejrzał się i dostrzegłszy drzwi naprzeciwko schodów, rzucił się tamtędy unosząc Tinę i ciągnąc oszołomioną Belesę. Kiedy dotarli do następnej komnaty, trzask za nimi oznajmił im, że w hallu zawalił się sufit. Przez duszącą ścianę dymu, Conan ujrzał otwarte, zewnętrzne drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. Gdy przenośli przez nie wyratowane kobiety, zauważył, że wrota zwisają na wyłamanych zawiasach, a zamek i zasuwę sterczą wyrwane jakąś potężną siłą.

– Tędy przyszedł Diabeł! – załkała histerycznie Belesa. – Widziałam go, ale nie wiedziałam ...

Wydostali się na oświetlony ogniem dziedziniec, kilka kroków od rzędu chat, stojących przy południowej ścianie. Ku drzwiom zbliżał się Pikt z podniesionym toporem i krwawymi oczami. Upuszczając Tinę i odsuwając Belesę za siebie, Conan dobył szabli i przeszył nią pierś dzikusa. W chwilę potem, unosząc obie dziewczyny z ziemi, pobiegł ku południowej ścianie.

Podwórzec zapełnił się kłębiącym dymem, który niemalże zakrył krwawą jatkę, która tam miała miejsce, ale mimo to, dostrzeżono zbiegów. Nagie postacie, czarne na tle przyćmionego blasku, wyskoczyły z dymu, wymachując brązowymi toporkami. Znajdowali się kilkadziesiąt kroków za nim, gdy Conan skoczył między chaty, a linię

Conan i Skarb Tranicosa

wałów. Na drugim końcu korytarza dostrzegł wyjące istoty, które pędziły, by odciąć mu drogę.

Zatrzymał się nagle, podrzucił Belesę na blanki, później Tinę, a w końcu sam wskoczył na podwyższenie. Przeniósł Belesę nad palisadą i upuścił na piasek po drugiej stronie. Zaraz potem dołączyła do niej Tina. Ciśnięty toporek wbił się w belki obok jego ramienia, ale za chwilę Cymmerianin również znalazł się za murami i podnosił z ziemi oszołomione i bezradne kobiety. Gdy Piktowie dopadli do ściany, za palisadą nie było nikogo, prócz porzrzucanych ciał.

Miecze Aquilonii

Świt złocił się już na ciemnych wodach, gdy daleko na horyzoncie, z mgły wychylił się biały skrawek. Był to żagiel, który wydawał się zawieszony na perłowym morzu. Na krzaczastym cyplu Conan Cymmerianin unosił obszarpany płaszcz nad ogniskiem z wilgotnego drewna. Gdy manewrował tą zasłoną, znad ognia unosiły się w górę chmurki dymu, chwiała chwilę w porannej bryzie i znikały.

Belesa podeszła do niego skulona, obejmując jedną ręką Tinę. Spytała:

– Myślisz, że to zobaczą i zrozumieją?

– O, zobaczą, nie ma obawy. – zapewnił ją. – Krążyli wzdłuż wybrzeża całą noc z nadzieją na odnalezienie ocalałych z bitwy. Są śmiertelnie przerażeni, jest ich tam tylko tuzin, a żaden nie potrafi nawigować na tyle, by dopłynąć stąd do wysp Baracha. Zrozumieją moje sygnały – to jest piracki szyfr. Będą zadowoleni, mogą pływać pod moją komendą, bo jestem jedynym kapitanem pozostałym w okolicy.

– A co, jeśli Piktowie dostrzegą dym? – zadrżała, zerkając za siebie ponad zamglonymi piaskami i krzakami, gdzie, całe mile na północ, unosiły się nad lasem słupy dymu.

– Raczej go nie dojrzą. Po tym, jak schowałem was w lesie, wróciłem tam czołgając się i ujrzałem jak wyciągają beczki wina i piwa z magazynów. Już wtedy większość z nich się zataczała. Teraz z pewnością leżą nieprzytomni, zbyt pijani, by się

Conan i Skarb Tranicosa

poruszyć. Gdybym miał choć setkę ludzi, zmiotłbym całą horde ... Crom i Mitra! – krzyknął nagle. – To nie jest Szkarłatna Dłoń, tylko galeon wojenny! Jakież cywilizowany kraj wysłałby tutaj jednostkę swojej floty? Chyba, że ktoś ma ochotę rozmówić się z twoim wujem, choć w tym przypadku potrzebowaliby wiedźmy, by przywołać jego ducha.

Wpatrzony w morze z wysiłkiem starał się dostrzec we mgle szczegóły okrętu. Zbliżający się statek płynął z opuszczonymi żaglami, więc jedyne, co widział, to ornamenty na kadłubie, mały żagiel łopoczący w słabej, przybrzeżnej bryzie i rząd wiosł z każdej burty, równocześnie unoszących się i opadających.

– Cóż, – powiedział – przynajmniej nas stąd zabiorą. Na piechotę do Zingary byłoby trochę daleko. Zanim jednak nie zorientujemy się kto to i czy jest przyjaźnie nastawiony, nie mówcie kim jestem. Do czasu, gdy tu dotrą wymyślę jakąś dobrą historyjkę.

Conan zdeptał ogień, podał płaszcz Belesie i przeciągnął się jak wielki, leniwy kocur. Belesa patrzyła na niego z podziwem. Jego niewzruszenie opanowany sposób bycia był niepowtarzalny. Noc ognia, krwi i rzezi, ucieczka przez czarne gęstwiny lasu – wszystko to pozostawiło jego nerwy w nienaruszonym stanie. Zdawał się absolutnie spokojny, zupełnie, jakby spędził noc na ucztowaniu i zabawie. Jedynie kilka bandaży urwanych z rąbka sukni Belesy zakrywało drobne rany i skaleczenia, które otrzymał walcząc bez zbroi.

Belesa nie lękała się go. W rzeczywistości teraz czuła się bezpieczniej, niż od chwili gdy postawiła stopę na tym niegościnnym wybrzeżu. Był inny, niż reszta rozbójników pływających po morzach. Tamci to cywilizowani ludzie, którzy odrzucili wszelkie zasady honoru, gdyż i tak go nie mieli. Conan zaś, żył wedle kodeksu swego ludu, który, mimo że barbarzyński i krwawy, przynajmniej hołdował swym szczególnym przykazaniom.

– Sądzisz, że on nie żyje? – spytała.

Nie spytał, kogo miała na myśli.

– Tak sądzę. – odrzekł. – Zarówno ogień, jak i srebro są śmiertelną bronią przeciwko złym duchom, a tamten dostał nim prosto w kałdun.

Conan i Skarb Tranicosa

– A co z jego panem?

– Thoth–Amonem? Zwiął pewnie do jakiegoś stygijskiego grobowca. Ci czarownicy to dziwaczna banda.

Żadne z nich nie poruszało więcej tego tematu. Umysł Belesy uciekał od wspomnienia sceny, kiedy to czarna postać przemykała się korytarzem, a długo oczekiwana zemsta została straszliwie dopełniona.

Okręt powiększył się nieco, ale potrzebował jeszcze czasu, by dopłynąć do brzegu. Belesa spytała:

– Gdy pierwszy raz przybyłeś do pałacu powiedziałeś coś o tym, że byłeś generałem w Aquilonii i później musiałeś uciekać. O co tam chodziło?

Conan wyszczerzył się w uśmiechu:

– Można winić za to moją głupotę i lekkomyślność, gdy zaufałem temu gruszkowatemu Numedidesowi. Uczynili mnie generałem z powodu jakiś drobnych sukcesów w walkach przeciwko Piktom. A później, kiedy rozbiłem pięciokrotnie przeważające siły wroga w bitwie pod Velitrium i przełamałem ich konfederację, wezwano mnie do Tarantii na oficjalny triumf. To wszystko bardzo łechce próżność – jazda u boku króla, gdy piękne dziewczyny sypią płatki róż przed twoimi stopami. Ale potem, na bankiecie ten bękart spoił mnie zatrutym winem. Zbudziłem się zakuty w łańcuchy w Żelaznej Wieży, oczekując na egzekucję.

– Za co niby?

Wzruszył ramionami:

– Skąd mam wiedzieć co też kłębi się w puszcze, którą ten tępak nazywa mózgiem? Może któryś z pozostałych aquilońskich generałów, niechętny nagłemu awansowi barbarzyńcy–obcokrajowca w ich świętych szeregach, napełnił króla podejrzeniami. Albo może on sam obraził się za kilka moich szczerych komentarzy dotyczących jego polityki wydawania zawartości królewskiego skarbcza na ozdabianie Tarantii swymi złotymi statuetkami, zamiast wspierania linii obronnych na granicach państwa.

– Filozof Alcemides wyznał mi, na chwilę przed tym, jak wyżłopałem zatrutego cienkusza, iż zamierzał napisać książkę o stosowaniu niewdzięczności, jako narzędzia

Conan i Skarb Tranicosa

sprawowania władzy, biorąc za przykład króla. Ech! Byłem zbyt pijany, by zorientować się, że próbował mnie ostrzec.

– Na szczęście miałem przyjaciół, dzięki którym wyrwałem się z Żelaznej Wieży, wsiałem na darowanego konia i dzierżąc miecz w rękę, odjechałem na wolny. Ruszyłem ku Bossonii z zamiarem wzniesienia rewolucji, poczynając oczywiście od własnych oddziałów. Ale gdy tam dotarłem, okazało się, że moi postawni Bossonianie zostali odesłani do innej prowincji, a ich miejsce zajęli Taurańczycy o krowich oczach, z których większość nawet o mnie nie słyszała. Nalegali, by mnie aresztować, więc musiałem rozłupać kilka czaszek, torując sobie drogę ucieczki. Przepłynąłem wpław rzekę Gromową, gdy nad moimi uszami świstały strzały ... i oto jestem.

Znowu zmarszczył brwi i spojrzał na zbliżający się okręt.

– Na Croma, przysięgłbym, że widziałem na banderze lamparta z Poitain. Chodźcie.

Gdy dało się już słyszeć rytmiczny śpiew sternika, sprowadził obie dziewczyny na plażę. Ostatnim, potężnym ruchem wiosł załoga wepchnęła galeon na piasek. Jakiś mężczyzna przeskoczył przez burłę, a Conan krzyknął:

– Prospero! Trocero! Co wy tu na wszystkich bogów robicie?

– Conan? – ryknęli i zbiegli się wkoło niego poklepując go po plecach i wymieniając z nim uściski dłoni. Wszyscy mówili równocześnie, ale Belesa nie rozumiała ani słowa z aquilońskiego języka. Ten, do którego zwracali się Trocero musiał być hrabią Poitain. Szerokobarki, wąskobiodry mężczyzna, który poruszał się z gracją pantery pomimo siwizny przypruszającej jego czarne włosy.

– Co wy tu porabiacie? – ponowił pytanie Conan.

– Przybyliśmy po ciebie. – odrzekł Prospero szczupły, elegancko odziany mężczyzna.

– Skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać?

Postawny łyсы mężczyzna zwany Publiusem wskazał na innego człowieka w czarnej todze kapłana Mitry.

– Dexitheus odnalazł cię za pomocą swej świętej sztuki. Przysięgł, że nadal żyjesz i obiecał nas do ciebie zaprowadzić.

Czarno odziany kleryk skłonił się poważnie.

Conan i Skarb Tranicosa

– Twoje przeznaczenie łączy się z Aquilonią, Conanie z Cymmerii. – rzekł. – Jam jest jedynie drobnym ogniwnem w łańcuchu Losu.

– No, o co zatem chodzi? – spytał Conan. – Crom jeden wie, jak cieszę się będąc uratowanym z tej zapomnianej przez Bogów piaskownicy, ale co skłoniło was, by po mnie przypląć?

Trocero wyjaśnił:

– Zbuntowaliśmy się przeciwko Numedidesowi, bo nie znieśliśmy już dłużej jego głupoty i prześladowań. Teraz szukamy generała, który przewodziłby rewolucji. Tyś jest naszym wodzem!

Conan zaśmiał się donośnie i wetknął kciuki za pas.

– Jak dobrze znaleźć kogoś, kto potrafi docenić prawdziwe zasługi. Prowadźcie mnie do walki, przyjaciele! – Rozejrzał się i jego wzrok spotkał oczy Belesy, stojącej potulnie z boku grupy. Przepchnął ją naprzód z szorstką galanterią.

– Panowie, poznajcie, oto, Lady Belesa Korzetta. – Po czym dodał w ojczystym języku dziewczyny: – Możemy cię zabrać do Zingary, ale co tam sama poczniesz?

Potrząsnęła bezradnie głową.

– Nie wiem. Nie mam ani pieniędzy, ani przyjaciół, a nie uczono mnie jak zarabiać na życie. Może byłoby jednak lepiej, gdyby któraś ze strzał przeszła mi serce.

– Nie waż się tak mówić, pani! – krzyknęła Tina. – Będę pracować za nas obie!

Conan wyciągnął zza pasa jakąś małą sakiewkę.

– Nie dobrałem się w prawdzie do klejnotów Tothmekriego, – mamrotał – ale mam tu kilka błyskotek znalezionych w skrzyni, z której wziąłem też moje odzienie. – wysypał sobie w dłoń garść płonących rubinów. – Same w sobie są warte fortunę. – wrzucił je z powrotem do sakiewki i podał kobiecie.

– Ale ja nie mogę ich przyjąć ... – zaczęła.

– Oczywiście, że je weźmiesz! Jeśli miałbym was zabrać do Zingary na pewną śmierć głodową, to równie dobrze mogę was zostawić tutaj, by oskalpowali was Piktowie. – odrzekł. – Wiem, co znaczy być bez grosza w hyboriańskim kraju. W mojej krainie, czasem zdarza się głód, ale ludzie chodzą głodni, dopiero, wtedy gdy

Conan i Skarb Tranicosa

przyroda nie daje już żadnego pożywienia. W cywilizowanych krajach widziałem ludzi chorych z obżarstwa w czasie, gdy inni umierali z głodu. Tak, widziałem ludzi padających i umierających na ścianach sklepów i magazynów wypchanych po brzegi jedzeniem.

– Czasem sam byłem głodny, ale moim mieczem zdobywałem sobie, co tylko chciałem. Ty tego nie potrafisz. Weź więc te rubiny. Możesz je sprzedać i kupić sobie zamek, niewolników, przednie stroje, a z taką fortuną nietrudno będzie ci znaleźć męża, gdyż cywilizowani ludzie pożąдают żon tylko dla ich bogactwa.

– A ty?

Conan uśmiechnął się i wskazał ręką krąg Aquilonian.

– Oto moje skarby. Z tymi prawdziwymi przyjaciółmi, całe bogactwo Aquilonii rzucę do mych stóp.

Postawny Publius przemówił:

– Twa hojność dobrze o tobie świadczy, Conanie, ale wolałbym, żebyś wcześniej skonsultował się ze mną. Ponieważ rewolucję czyni się nie mieczem jedynie, ale również złotem. Poborcy Numedidesa wyciskają z Aquilonii ostatni grosz tak, że z trudem znajdziemy pieniądze na wynajęcie najemników.

– Ha! – zaśmiał się Conan. – Zdobędę wam dość złota, żeby każdy miecz w Aquilonii wymachiwał dla nas! – w kilku słowach opowiedział im o skarbie Tranicosa i zniszczeniu warowni Valenso. – Nie ma już w jaskini demona, a Piktowie rozpierzchną się wkrótce do swych wiosek. Z oddziałem dobrze uzbrojonych ludzi możemy szybko wypuścić się do skarbcza i z powrotem, zanim jeszcze dzicy zorientują się, że wkroczyliśmy do ich kraju. Jesteście ze mną?

Zaczęli wiwatować i pokrzykiwać, aż Belesa przestraszyła się, że hałas może przyciągnąć uwagę Piktów. Conan rzucił jej chytre spojrzenie i zamamrotał po zingarsku, zasłaniając usta kołnierzem:

– Jak ci się podoba "Król Conan"? Brzmi nieźle, co?

Conan i Skarb Tranicosa

Tropem Tranicosa

–L.Sprague de Camp

Kiedy w 1951 odkryłem trzy, najwyraźniej nigdy nie wydane opowieści o Conanie, zredagowałem je dla publikacji w czasopiśmie, następnie poprawiłem nieco dla wersji książkowej, a w końcu przeprowadziłem jeszcze jedną edycję do wydania popularnego w serii Ace. Dodatkowo, dowiedziałem się, że sam Howard przepisał dwa z nich, więc w efekcie historia tych opowiadań była dość barwna.

Z tej trójki opowiadanie pod tytułem, "Córka mroźnego giganta" było jednym z pierwszych o Conanie, które napisał Howard i jednym z kilku podobnych, które autor przekazał Farnsworthowi Wrightowi z magazynu "The Weird Tales" na początku 1932 roku. Spośród nich Wright zaakceptował "Miecz feniksa" – pierwszą opowieść o Conanie kiedykolwiek wydaną – a 10 marca 1932 odrzucił całą resztę. Jakies dwa lata później, Howard przepisał "Córkę mroźnego giganta", zmieniając tytuł na "Bogów północy" oraz imię bohatera, z Conana na Amrę z Akibitany, ale poza nie wprowadził żadnych zmian. Wszystko to dla publikacji w pionierskim magazynie dla fanów Charlesa D. Horninga "The Fantasy Fan".

Howard chciał ujrzeć swą historię w druku, ale nie miał nadziei na sprzedanie jej, gdyż jedynym, ówczesnym magazynem kupującym powieści tego typu był "Weird Tales". Zmienił zaś imię bohatera, ponieważ opowieści o Conanie miały całkiem niezłą pozycję na rynku i uważał, że rozdawanie ich za pół-darmo byłoby nierozsądne. Opowieść ta jest od tamtej pory znana zarówno z Conanem, jak i z Amrą, z Akibitany, w roli głównych bohaterów.

"Czarny nieznajomy" ma jeszcze bardziej zawiłą historię, która, jak sądzę, zainteresuje bibliografów i miłośników prozy Howarda. Sądząc z wyglądu rękopisu, Glenn Lord wnioskuje, iż Howard prawdopodobnie napisał tę opowieść (30.000 słów) około 1933–1934 roku. Najwyraźniej Farnsworth Wright również ją odrzucił. W ponad

Conan i Skarb Tranicosa

rok później, Howard przepisał opowieść jako 25.000 słów historii o hiszpańskim piracie zatytułowaną "Miecze Czerwonego Bractwa". Wysłał ją do wydawnictwa Otis Kline Associates 28 maja 1935. (* Jest to właśnie dowód na to, iż wersja o piratach powstała przed wersją z Conanem.)

Dzieje rękopisu w ciągu następnych trzech lat pozostają nieznane. W końcu Kline przekazał opowieść do magazynu historycznej fikcji przygodowej "Golden Fleece", który ukazywał się od października 1938 do czerwca 1939. Magazyn został zamknięty niedługo po tym, jak otrzymał rękopis Howarda. Rękopis zwrócono, ale Howard w tym czasie już nie żył. Była to ostatnia wzmianka o tej wersji.

W przepisanej opowieści (nigdy nie publikowanej) Howard usunął większość z nadprzyrodzonych sił, zmienił imiona niemalże wszystkich postaci i wprowadził muszkiety skałkowe oraz inne rekwizyty odpowiednie dla fabuły rozgrywającej się w początkach XVII wieku. Scenerię umieścił na zachodnim wybrzeżu Ameryki, gdzie hrabia Henri d'Chastillon uciekł przed afrykańskim czarownikiem, którego niegdyś przechytrył w handlu niewolnikami. W rzeczywistości, miejsce akcji i Indianie odpowiadają raczej wschodnim puszczeniom dziewiczej Ameryki Północnej i absolutnie nie pasują do Kalifornii z górującymi nad nią wzgórzami i przyjaznymi tubylcami mielącymi żołądźcie na mąkę. Ponadto, Howard najwyraźniej miał znikome pojęcie o francuskim jako, że d'Chastillon jest nazwiskiem brzmiącym w tym języku nieprawidłowo.

Conan z oryginalnej opowieści został zastąpiony kolejnym dublerem o imieniu Terence Vulmea – gigantycznego Irlandczyka zmuszonego przez angielskie prześladowania do ucieczki z Irlandii i zostania piratem. Vulmea pojawia się jeszcze w innej powieści Howarda "Zemsta Czarnego Vulmei" (15.000 słów) opublikowanej w "Golden Fleece" w listopadzie 1938. Fabuła tej noweli miała wiele wspólnego z "Czarnym nieznajomym". Vulmea prowadzi wroga – kapitana brytyjskiej floty – na wyprawę poszukiwawczą po skarb u wybrzeży Peru, gdzie każdy zdradza każdego, a hordy dzikusów łypią oczami spomiędzy drzew. Bohater ten nazywa się po prostu Czarny Vulmea a opowieść "Miecze Czerwonego Bractwa", ale jego pełne imię

Conan i Skarb Tranicosa

pojawia się w "Zemście Czarnego Vulmei". Imiona Tranicos (który pojawia się w "Czarnym nieznanym") i Villiers (występujący w "Mieczach Czerwonego Bractwa") odnoszą się do sławnych piratów.

W lutym 1952 roku przepisałem "Czarnego nieznanego". Nie będąc pewnym, czy zdołam sprzedać opowiadanie bez drastycznych poprawek, zdecydowałem się na daleko idącą korektę. By przyspieszyć narrację skondensowałem treść o jakieś 15% drogą wielu drobnych cięć tego, co zdawało się watą słowną. Ponieważ oryginalna opowieść była dość luźno powiązana z resztą sagi, dodałem dygresje, by wprowadzić króla Numedidesa, Thoth–Amona i następującą później rewolucję w Aquilonii.

W wersji Howarda przeszkodą w jaskini był śmiertelnie trujący gaz wulkaniczny. Zabójcą hrabiego Valenso uczyniłem czarnego demona, zesłanego z Piekieł przez bezimiennego czarownika, którego przechrzył hrabia. Wstawiłem demona do jaskini w miejsce gazu, nazwałem mściwego czarodzieja Thoth–Amonem i wprowadziłem go do akcji, by uwolnił potwora z grotty i nasłał go na hrabiego. W zakończeniu, Howard sprawia, iż Conan porzuca chęć zdobycia skarbów i przywołuje okręt piracki Szkarłatna Dłoń, proponując, swoje dowodzenie, by nadal siał postrach na morzach. Jako, że pociągnęłoby to poważne nieścisłości chronologiczne, uczyniłem okręt galeonem niosącym na pokładzie aquilońskich rebeliantów, którzy poszukiwali Conana, by poprowadził ich do rewolucji.

Sądząc ponadto, że zbyt wiele howardowskich tytułów zawierało w sobie słowo "czarny", zmieniłem tytuł na "Skarb Tranicosa". Z różnych powodów zmieniłem też kilka postaci występujących w opowieści.

Rękopis trafił do Lestera del Rey'a, wydawcy "Fantasy Magazine", gdzie też pojawił się w wydaniu z marca 1953. Lester również miał swój wkład w poprawianiu tej historii. Wolał oryginalny tytuł "Czarny nieznanomy", więc pod takim właśnie ukazało się opowiadanie. Dodał nowy początek w postaci czterech dodatkowych rozdziałów. Dodał też walkę z demonem. Wyciął moje odwołania do filozofa Alcemidesa.

Gdy Greenberg opublikował opowieść w "Królu Conanie" użył wersji del Rey'a, ale z moim tytułem "Skarb Tranicosa".

Conan i Skarb Tranicosa

Kiedy pisałem rękopis dla wydawnictwa Lancer (obecnie Ace) do ich popularnego wydania "Conana uzurpatora", napisałem również nową wersję tej opowieści bazując na oryginale Howarda i mojej wersji z 1952 roku. Nie martwiąc się już o kwestie sprzedaży i chcąc dać czytelnikowi coś przybliżonego howardowskiemu oryginałowi, zredagowałem jego tekst znacznie łagodniej, pozostawiając większość treści nie zmienioną. Nie chciałem zbytnio kondensować opowieści, toteż poczyniłem tylko takie zmiany, które wydały mi się niezbędne. Pomiąłem dodatki Lestera, które nigdy jakoś do mnie nie przemawiały (mam nadzieję, że nie powodowała mną próżność), ale zostawiłem własne wzmianki pozwalające połączyć to opowiadanie z resztą historii o Conanie z Cymmerii. Nadałem tytuł "Skarb Tranicosa" nie tylko ze względu na przesadne przywiązanie Howarda do czarnego koloru, ale również dlatego, że "nieznajomy" nie był już demonem, ale stygijskim szamanem Thoth–Amonem, który miał raczej brązową, niż czarną skórę. Odwołałem się do oryginalnych imion postaci, z dwoma wyjątkami: Strombanni, którego Howard nazywał "Strom" i Gebellez, zwany wcześniej "Gebrello". Owszem, "Strom" to prawdziwe imię, północno–europejskie, w zasadzie anglo–skandynawskie (vide amerykański senator Strom Thurmond). Poza tym wszystkie argosańskie imiona mają u Howarda włoskie zakończenia, jak na przykład "Tito", czy "Demetrio". Dlatego właśnie zostawiłem Strombanniego. Z kolei "Gebrello" brzmi zbyt podobnie do Galbro, a takie imię nosiła już jedna z postaci.

By zorientować się między tymi wszystkimi wersjami, przedstawiam poniżej tabelę z imionami postaci występujących w różnych wcieleniach opowieści. I oznacza oryginał Howarda "Czarny nieznajomy". II to "Miecze z Czerwonego Bractwa". III oznacza moją wersję "Czarnego nieznajomego" z 1952 roku. IV odpowiada zmodyfikowanemu przez del Rey'a opowiadaniu, opublikowanemu w "Fantasy Magazine" pod tytułem "Czarny nieznajomy" oraz jako "Skarb Tranicosa" w "Królu Conanie". III i IV są zebrane razem, gdyż wszystkie postaci mają te same imiona w obu wersjach. V jest najnowszym wydaniem, które pojawiło się w tomie "Conan uzurpator" i jako samodzielna nowela ilustrowana wydawnictwa Sunridge "Skarb Tranicosa".

Conan i Skarb Tranicosa

Pozostałe dwie opowieści odnalezione w 1951 mają równie pasjonującą historię zmian poczynionych przeze mnie dla ich pierwszych publikacji oraz późniejszych poprawek, które wyeliminowały wiele z moich modyfikacji, sprowadzając te opowiadania do form bliskich howardowskiemu oryginałowi, ale nie widzę potrzeby wdawania się w szczegóły.

I	Galacus	Harston	
Conan			Tina
	Bezimienny	Guillaume	
Belesa Korzetta	demon	Villiers	Hrabia Valenso Korzetta
		Giovanni da Verrazano	Galbro
Tina	Bracus		
		Jacques	Zorgelitas
Hrabia Valenso	Tothmekri		
Korzetta	II	Richardson	Strombanni
	Terence Vulmea		
Galbro		Bezimienny	Zarrono
	Francoise	czarownik	
Zingelito	d'Chastillon	afrykański	Tranicos
Strom	Tina	Hawksby	
			Gebellez
Zarono	Hrabia Henri	Montezuma	
	d'Chastillon	III,IV	Galaccus
Tranicos		Conan	
	Gallot		Thoth–Amon
		Belesa Korzetta	
Gebbrelo	Jacques Piriou		

Conan i Skarb Tranicosa

Ottandro	Tina		Thoth–Amon
		Zarrono	
Maatneb	Hrabia Valenso		
V	Korzetta	Tranicos	
Conan			Bracus
	Galbro		
Belesa Korzetta		Gebellez	Tothmekri
	Zingelito		
		Galacus	
	Strombanni		

Skald w Post Oaks

–L. Sprague de Camp

Okolica wokół Cross Plains w Texasie jest płaska i delikatnie pochylona. W dawnych czasach była to gęsto zalesiona kraina, porośnięta różnymi gatunkami dębów. Cross Plains znajduje się pośrodku tej płaskiej, bezkresnej przestrzeni. Właśnie tam mieszkał Robert E. Howard (1906–1936), twórca Conana i, obok Tolkiena, najbardziej znany pisarz heroic fantasy.

Robert Ervin Howard urodził się w Peaster, w Texasie, niedaleko obecnego Weatherford. Jego ojcem był dr Isaac Howard, lekarz pograniczny. Po kilku przeprowadzkach, około 1919 rodzina osiadła w Cross Plains, niemalże w samym środku stanu.

Dzisiaj, Cross Plains jest domem dla 1.200 mieszkańców – o 300 mniej, niż za czasów Howarda. Podczas, gdy Brownwood, niecałe 40 mil na południowy–wschód zwiększyło w tym czasie swoją populację z 14.000 na 20.000, ludzie mówią, że czas ominął Cross Plains. Poza kilkoma nowymi stacjami benzynowymi, miasteczko nie zmieniło się zbytnio w ciągu ostatnich dekad. Ale mimo tego, Cross Plains pozostaje

Conan i Skarb Tranicosa

miło wyglądającym, małym miasteczkiem z czystymi, nowoczesnymi domkami otoczonymi przez trawniki i sadzonki, typowe dla dzisiejszych domków na amerykańskim przedmieściu.

Jako chłopiec, Robert Howard był słabowitym molem książkowym i przejawiał cienie osobowości schizoidalnej. Taka osoba poświęca znacznie mniej uwagi skutkom swych działań w stosunku do innych ludzi. W obecnym żargonie mówi się, że nie potrafi ich "odnieść" do innych. Zawodowi myśliciele i pisarze, jak sądzę, w większości są nieco schizoidalni, gdyż w przeciwnym razie nie byłiby myślicielami, ani pisarzami. Kiedy osobowość schizoidalna idzie w parze z drobną budową ciała i zainteresowaniami książkowymi, osoba taka postrzegana jest jako dziwak i staje się idealnym obiektem szyderstw. W takich razach, życie chłopca jest dżunglą, w której on spełnia funkcję królika.

Jednakże gdy dorastał, prześladowany Howard podjął bardzo rygorystyczny program ćwiczeń siłowych, bokserskich i rozwijających mięśnie. Do czasu, gdy wstąpił do Cross Plains High School stał się już potężnym, mocarnym młodzieńcem. Gnębienie go ustało, a Howard wcale nie przejął roli swych dotychczasowych prześmiewców.

Przez całe życie pozostawał fanatykiem sportu i ćwiczeń. Gdy w pełni dorósł, mierzył nieco poniżej stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i ważył około dziewięćdziesięciu kilogramów, z czego większość stanowiły mięśnie. Był zadeklarowanym bokserem i jeźdźcem, jako że posiadał konia, ponadto uwielbiał kibicować w boksie i piłce nożnej. Nikt mu wtedy nie dokuczał, ale jego dzieciństwo pozostawiło w nim permanentny uraz objawiający się cyniczną mizantropią.

Ponieważ szkoły publiczne w Cross Plains gwarantowały edukację tylko do dziesiątej klasy, w 1922 rodzice Howarda wysłali go do Brownwood High School. Trzy lata później, posłali go ponownie na rok do Howard Payne Academy, którą skończył w 1927.

Kolejny rok poświęcił na kursy handlowe w college, obejmujące "stenografię, maszynopisanie, rachunkowość i prawo handlowe", ale nie otrzymał żadnego dyplomu. Pisał później: *"Udokumentowane wykształcenie wyższe z pewnością pomogłoby mi*

Conan i Skarb Tranicosa

niezmiernie ... mógłbym nawet polubić college ... ale nie w tym rzecz, nie sądziłem, żeby było mnie na to stać ...". tym czasie, Howard uczył się sam poprzez czytanie szerokiego zakresu literatury. W czasie letnich wakacji, jak utrzymywał, włamywał się do zamkniętych bibliotek szkolnych i wynosił torby pełne książek, które później oczywiście zwracał.

W 1921, jako piętnastolatek, wybrał pisanie, jako drogę swej kariery i wysłał opowiadanie do "Adventure Magazine", gdzie wkrótce się ukazało. W 1923 rozpoczęły działalność "Weird Tales". Na jesieni 1924, w Brownwood, Howard sprzedał swoje pierwsze komercyjne opowiadanie: historię o jaskiniowcach "Włócznia i Pazur". "Weird Tales" weszły właśnie pod redakcyjny wpływ Farnswortha Wrighta, który zapłacił Howardowi za tę nowelkę szesnaście dolarów.

Poza swymi studiami, Howard miał się różnych drobnych zajęć takich, jak ankietowanie i sprzedaż wody sodowej. Wstąpił do towarzystwa ośmiorga lub dziesięciorga młodych ludzi o zainteresowaniach literackich, żyjących w okolicach Brownwood. Kontynuował pisanie do "Weird Tales" i przez następne dwa lata sprzedał temu magazynowi jeszcze cztery opowiadania. Wszystkie były niczym nie wyróżniającą się fikcją, typową dla tego czasopisma: "Zapomniana rasa" – opowieść o konflikcie pomiędzy Piktami i Celtami w starożytnej Brytanii, "Hiena" i "Wilcza głowa" opowiadające o zmiennokształtnych w Afryce.

Taki okres ciągłego próbowania i walki o wydawcę jest nieodłącznym etapem kariery każdego pisarza. Fenomen Howarda polega jednak na tym, iż tak świetnie sobie poradził, będąc przecież samoukiem, mieszkając w bezbarwnym środowisku, z dala od jakichkolwiek zawodowych kontaktów.

W 1928 Howard przelał na papier postać, która dawno już narodziła się w jego umyśle. Był to Solomon Kane, angielski purytanin z końca szesnastego wieku. Opowieść nosiła tytuł "Czerwone cienie" i została wydana w "Weird Tales" w sierpniu 1928. Kane różni się od pozostałych bohaterów Howarda, którzy wszyscy są umiędzianymi, skorymi do bójki, wojowniczymi poszukiwaczami przygód. Kane zaś jest posepny z wyglądu, szorstki w obyciu, surowy i zasadniczy, wiedziony demoniczną potrzebą wędrowania, poszukiwania niebezpieczeństw i naprawiania zła.

Conan i Skarb Tranicosa

W opowieściach o nim, które nierzadko dzieją się w Europie i Afryce, Kane przeżywa ociekające krwią przygody i zwycięża nadnaturalnych wrogów.

W owym czasie Howard z ledwością zdołał wyżyć ze swego pisarstwa. "Weird Tales" pozostały jego głównym odbiorcą mimo, że w 1929 rozwinął się publikując w "Argosy All-Story Weekly" i "Fight Stories". W dekadzie następującej po "Czerwonych cieniach" pojawiał się w około dwóch trzecich ze wszystkich wydań "Weird Tales", choć wiele z jego wystąpień to jedynie wiersze.

Howard wyprodukował pokaźny tom poezji, z czego większość zostało wydana. Podobnie, jak proza, jego wiersz jest pełen wigoru, barwny, bardzo rytmiczny i technicznie bez zarzutu mimo, że, jak sam twierdził: *"Nie mam pojęcia o mechanice poezji – nie mógłbym ci powiedzieć, czy wers jest pisany anapestem, czy trochejem, choćbyś trzymał mi nóż na gardle."*¹

Od czasu do czasu, Howard wsiadał do swego Chevroleta i jechał na długą wycieczkę do jakiegoś historycznego miejsca na południowym-zachodzie, albo w Meksyku. Zawsze jednak wracał do Cross Plains. Kontynuował swoje ćwiczenia fizyczne – szczupły w okolicach dwudziestki, jako trzydziestolatek stał się już masywny. Był dorosłym, dużym, mocno zbudowanym mężczyzną o czarnych włosach, niebieskich oczach skrytych pod czarnymi, krzaczastymi brwiami, z okrągłą, lekko pulchną twarzą i głębokim, miękkim głosem.

Pijał piwo, ale nie palił. Z rzadka widziano go pijanego, ale nigdy nie wdawał się w bójki. Pijackie rozróby i swawolenie z panienkami, o których wspominał w swoich listach były, jak potwierdzili moi informatorzy, w większości lub całkowicie zmyślane.

Howard był człowiekiem o skrajnych uczuciach i gwałtownym guście. Jego osobowość była introwertyczna, humorzasta i niekonwencjonalna. Jeśli miał akurat ochotę, mógł perorować elokwentnie na każdy w zasadzie temat, ale równie dobrze mógł zamknąć się w sobie i wpaść w ponury nastrój do tego stopnia, że nie odezwałby się ani słowem do przyjaciela, który przybył z daleka, by się z nim spotkać. Był impulsywny, wybuchał bardzo szybko i zaraz się uspokajał. Nawet jego najbliżsi przyjaciele uważali go za enigmę. Jeden z nich powiedział:

Conan i Skarb Tranicosa

"On po prostu za nic miał wiele rzeczy, które tak bardzo obchodziły innych ludzi."

Mając do czynienia z tak żarłocznym czytelnikiem, nigdy nie można być pewnym, że nie wpłynął na niego żaden poprzednik. Jednym z jego ulubionych autorów był Jack London, doceniał również podróżnicze i odkrywcze narracje Sir Richarda F. Burtona. W opowiadaniach Howarda widać wyraźny wpływ pisarzy takich, jak London, Robert W. Chambers, Talbot Mundy, Harold Lamb, Edgar Rice Burroughs, Sax Rohmer i H.P. Lovecraft.

Powyższe silne wpływy objawiły się w fikcji Howarda przede wszystkim romantycznym prymitywizmem Londona i Burroughsa. Do tego dochodzi jeszcze fascynacja celtycką historią i legendami oraz wierzenia rasowe w Stanach Zjednoczonych lat dwudziestych. Prymitywizm Howarda dobrze podsumowuje komentarz uczyniony przez jedną z postaci występujących w "Za czarną rzeką": "Barbarzyństwo jest naturalnym stanem ludzkości. Cywilizacja jest nienaturalna. Stanowi jedynie kaprys okoliczności. Barbarzyństwo musi w końcu zatriumfować". Sprzeczał się na ten temat obszernie w swej korespondencji z H.P. Lovecraftem, podtrzymując wyższość barbarzyństwa nad cywilizacją.

Howard dał upust swemu prymitywizmowi w opowieściach z 1929 roku, opowiadających o gigantycznym barbarzyńskim bohaterze imieniem Kull. Jako rdzenny mieszkaniec prehistorycznego okresu Atlantydy, Kull podróżuje na kontynent Thuriański, zostaje żołnierzem w Valusji i uzurpuje sobie tron tego królestwa. Już jako król Kull, spotyka czarowników, przedludzkich gadoludzi i gadającego kota. Howard wysłał kilka z tych opowiadań do "Weird Tales". Wright zaakceptował tylko dwa: "Królestwo cieni" i "Zwierciadła Tuzun Thune" – resztę odrzucił.

Będąc w dalekiej linii Szkotem i Irlandczykiem, przejawiał Howard fascynację Celtycyzmem. Pewnego razu, w dzień Świętego Patryka wystąpił w zielonej muszce o rozpiętości ponad pół metra. Puszczął wodze swojej Celtomanii umieszczając swe opowieści na Wyspach Brytyjskich w czasach starożytnych i średniowieczu oraz opisując konflikty Piktów z Brytami, Brytów z Rzymianami i Galów z Nordykami.

Conan i Skarb Trancosa

Wiele z poglądów Howarda zostałyby dzisiaj napiętnowane zawsze aktualnym stygmatem rasizmu. Prezentując rasistowski punkt widzenia, Howard jedynie podążał śladem najpopularniejszych podówczas pisarzy, dla których stereotypy etniczne stanowiły element przetargowy. Zarówno pisarze, jak i czytelnicy przyjmowali milcząco, że fikcyjni Szkoci powinni być skąpi, Irlandczycy śmieszni, Niemcy aroganccy, Żydzi chciwi, Murzyni dziecinni, Latynosi pożądlivi, a Azjaci pełni nieczystych zamiarów. Podejście Howarda do różnych ras zbudowane było na bazie konwencjonalnych opinii białego Południowca, włączając w to sentymentalną sympatię dla Konfederacji.

Jednakże prymitywizm Howarda wzbogacał jego rasowe uprzedzenia w element paradoksu. Mógł postrzegać Murzynów jako nieuleczalnych barbarzyńców, ale dla niego nie była to do końca negatywna cecha jako, że uznawał, iż posiadają oni pewne zalety, których brakuje cywilizowanym ludziom. Krytykując francuskiego powieściopisarza mówił: "Dumas dysponuje wigorem, którego próżno by szukać u innych francuskich autorów – tę zasługę przypisuję jego dalekiemu, murzyńskiemu pochodzeniu"¹. Jeśli w ogóle mógłby uchodzić za rasistę, to za stosunkowo łagodnego. A jego dzieła dowodzą, że, podobnie jak w przypadku Lovecrafta, jego uprzedzenia blakły w miarę, jak się starzał.

Pomijając kwestie rasowe, sympatie polityczne Howarda plasowały go w obozie aktywnie antyautorytarnych liberałów. Kiedy Lovecraft chwalił Mussoliniego, Howard dawał mu stanowczy odpór.

Z nastaniem szerszego rynku wydawniczego, Howard był nawet bardziej zajęty, niż w okresie 1929–1932. Napisał kilka dziwadeł na kanwie lovecraftowskiej mitologii Cthulhu. Rozwinął zakres swej tematyki włączając sport, opowieści przygodowe, orientalne i historyczne. Rozwodził się nad swoimi niebezpiecznymi przygodami – do Clarka Ashtona Smitha napisał:

"Jak na faceta, który zawsze wiódł spokojne, ciche i naprawdę prozaiczne życie, często brałem udział w sytuacjach, z których cudem uszedłem cało. Raz poniósł mi koń i upadł na mnie, inny znowu mnie zrzucił, a potem na mnie skoczył, jeszcze inny wykręcił w powietrzu pełne salto i wylądował na grzbiecie, co z pewnością by mnie

Conan i Skarb Tranicosa

zmiażdżyło jak pluskwę, gdyby nie fakt, że zostałem wyrzucony w międzyczasie ponad łbem konia. Kiedyś lunatykując wyszedłem przez okno w sypialni, innym razem nóż wbił mi się w nogę, powyżej kolana, zaledwie o włos od tej dużej tętnicy, która tamtędy przebiega. Kiedy indziej wlałem po ciemku na grzechotnika, etc ...”²

Jego charakter miał jednakże również ciemne strony. Już w 1923 zaczął zabawiać się myślą o samobójstwie. Może nie jest to niezwykle u dojrzewających ludzi, ale w przypadku Howarda idea ta wzmacniała się z czasem. Słyszano jak mawiał: "Mój ojciec jest człowiekiem, który potrafi o siebie zadbać, ale muszę zostać tak długo, jak żyje moja matka."³ Niektóre z jego wierszy wyrażają chęć rezygnacji:

*Na tym ludzkiej trzody świecie,
Nuży mnie już zgiełk, słów śmiecie.*

Jak widać z rzeczywiście raczej cichego i samotnego życia Howarda, wewnętrzny konflikt i zmagania, na które narzekał były cały czas w nim obecne.

Obustronne poświęcenie między Howardem, a jego matką jest klasycznym przypadkiem kompleksu Edypa. Będąc podstarzałym dwudziestokilkulatkiem, w wieku, kiedy większość chłopców umawia się już od dawna z dziewczynami, Howard dopiero zaczynał się z nimi widywać. Przez lata usprawiedliwiał swoją mizoginię słowami: "Eee, tam, co za kobieta spojrzalaby kiedykolwiek na takiego olbrzymiego, paskudnego wielgusa, jak ja?". Ale w momentach, gdy Howard zaczynał chociaż przejawiać typowo męskie podejście do kobiet, jego matka potępiała jego nowe zainteresowanie. Jeden z gości w ich domu, opowiadał, że, gdy do Howarda zadzwoniła raz dziewczyna, pani Howard powiedziała, że nie ma go w domu, mimo iż wiedziała, że to nieprawda.

Ojciec Howarda, Isaac Howard, wydawał się być wyjątkowo rozkazującym, wpatrzonym w siebie i dominującym mężczyzną – nieatrakcyjnym tyranem domowym, chociaż E. Hofmann Price (jedyne profesjonalny pisarz, jakiego Howard kiedykolwiek poznał) lubił przebywać z doktorem Howardem odwiedzając Cross Plains. Doktor i jego syn sprzeczały się często i gwałtownie, zwykle dlatego, że Howard nękał ojca

Conan i Skarb Tranicosa

pretensjami o zaniechywanie matki. Mimo, iż szybko kończyli te kłótnie, nie wydaje się żeby choć odrobinę się kochali.

Howard zaczął również przejawiać objawy paranoi i manii prześladowczej. Zaczął nosić pistolet automatyczny Colta, zapewne przeciwko wymagowanym "wrogom". Miejscowi postrzegali go jako "niegroźnego dziwaka". Pytali go, kiedy zamierza skończyć z wygłupianiem się z opowiastkami i zabierze się za prawdziwą pracę, chociaż w rzeczywistości pracował dłużej i robił więcej pieniędzy, niż większość mieszkańców Cross Plains. Ale mimo wrogiego nastawienia środowiska, uparcie tkwił w Cross Plains.

W 1932 roku Howard wydał na świat swego najbardziej udanego bohatera: Conana z Cymmerii. Pisał:

*"Może się wydać nierealne łączenie pojęcia "realizm" z Conanem, ale w rzeczywistości – pomijając jego nadprzyrodzone przygody – jest najbardziej realistyczną postacią, jaką kiedykolwiek wymyśliłem. Stanowi po prostu kombinację paru ludzi, których znałem i sądzę, że to właśnie dlatego wydawało mi się, że wkroczył w pełni ukształtowany do mojej wyobraźni, gdy napisałem pierwsze załączki jego sagi. Jakiś mechanizm w mojej podświadomości przejął dominujące cechy rozmaitych łowców nagród, rewolwerowców, przemytników, robotników z naftowych odwiertów, hazardzistów i uczciwych ludzi, z którymi miałem kiedykolwiek kontakt i łącząc ich wszystkich w jedno, stworzyłem amalgamat, który ochrzciłem Conanem z Cymmerii."*³

Płodząc Conana, Howard wykreował dla niego cały świat. Przyjął, że około 12.000 lat temu, po zatopieniu Atlantydy, ale przed pierwszymi zapisami historii nastąpił Wiek Hyboriański, kiedy to:

... błyszczące królestwa rozciągały się wzdłuż i wszerz na całym świecie, niczym błękitne kobierce pod gwiazdami – Nemedia, Ophir, Brythunia, Hyperborea, Zamora z jej ciemnowłosymi kobietami i wieżami nawiedzonymi przez pajęczę tajemnicę, Zingara ze swą kawalerią, Koth graniczący z pasterskimi ziemiami Shemu, Stygia pełna skrytych pośród cieni grobowców, Hyrkania, gdzie jeźdźcy nosili stal, jedwab i

Conan i Skarb Tranicosa

złoto. Ale najdumniejszym królestwem ze wszystkich była Aquilonia, rządząca niepodzielnie na wyśnionym Zachodzie.

Conan stanowił rozwinięcie króla Kulla oraz idealizację samego Howarda: gigantyczny barbarzyńca – poszukiwacz przygód z północnej krainy Cymmerii, który po całym życiu pełnym brożenia w strumieniach krwi i zwyciężania wrogów zarówno naturalnych, jak i niezemskich, staje się królem Aquilonii.

Howard przedstawiał całe życie Conana, od narodzin do starości i sprawiał, że rozwijał się on i starzał, jak normalny człowiek. Z początku, Conan jest jedynie bezprawnym, lekkomyślnym, nieodpowiedzialnym, drapieżnym młodzieniaszkiem posiadającym niewiele zalet poza swą odwagą, lojalnością w stosunku do paru przyjaciół i szorstką, zapalczywą gotowością do kontaktów z kobietami. Z czasem uczy się nie tylko ostrożności i sprytu, ale również solidności i odpowiedzialności, aż wreszcie, gdy osiąga wiek średni i jest dość dojrzały, by stać się dobrym królem. Stoi to w przeciwieństwie do innych bohaterów fantasy takich, jak postaci z Homera, czy P.G. Wodehouse'a, którzy posiadają godną pozazdroszczenia zdolność pozostawania w tym samym wieku przez dobre kilkadziesiąt lat.

Jako samouk osiągnął Howard wyjątkowo wypracowany i elokwentny styl pisania. Pisał krótkimi lub średnio długimi zdaniami o prostej konstrukcji, podobnie jak inni, nauczeni hemingway'owską rewolucją lat trzydziestych. Potrafił zbudować wrażenie wielce barwnej i bogatej sceny jedynie przez oszczędne stosowanie spowalniających akcję przymiotników i przysłówków. Był zwolennikiem "dobrze utkanej opowieści", w odróżnieniu od pisania wedle szkoły "plasterków życia". Utwory pisane obydwoma stylami znajdują w literaturze swe miejsce, ale dla czystej, eskapistycznej rozrywki, a tym wszak miały być powieści Howarda, pierwszy z nich wydaje się bardziej odpowiedni.

Howard–pisarz miał swoje wady i zalety. Te pierwsze spowodowane były zwykle pośpiechem. Z tego właśnie powodu jego opowieści zawierają wiele nieścisłości i bezmyślnych lapsusów. Miał tendencję do powtarzania pewnych elementów w każdym opowiadaniu: walka z gigantycznym wężem (Howard

Conan i Skarb Tranicosa

nienawidził tych gadzin), albo małpoludem, rozległe miasto z zielonego kamienia zbudowane na planie Pentagramu, latający potwór w postaci skrzydlatej mały lub demona.

Krytycy wskazywali również na jego niedojrzałość w przedstawianiu stosunków międzyludzkich, szczególnie jeśli chodzi o podejście jego bohaterów do kobiet i przemoc, wszechobecną w jego opowieściach. Conan kroczy dumnie przez hyboreańskie krainy, przelatując jedną chętną dziewczkę za drugą, ale kobiety pozostają postrzegane jako zwykłe zabawki. Prawda, w końcu Conan poślubia swą królową, fakt ten jednakże jest raczej epilogicznym domysłem. Najprawdopodobniej, jako mały chłopiec Howard czuł się nieswojo w konfrontacji z miłością, kiedy oglądając western, patrzył zdeglustowany, jak główny bohater całuje bohaterkę zamiast swego konia. Ponadto, jeden z jego krytyków tak bardzo zszokował się rozbryzgującą się krwią, że nazwał opowieści Howarda "projekcją niedojrzałych fantazji rozszczepionego umysłu w logiczny sposób przecierających drogę ku schizofrenii."

Co jednak wydaje się przesadnym rozlewem krwi i niedojrzałością emocjonalną, stanowiło normę dla czytadł współczesnych Howardowi. Pisarze nie uważali za swój obowiązek obarczania swych bohaterów świadomością społeczną, sympatyzowania z represjonowanymi mniejszościami rasowymi, brania pod uwagę mechanicznych szczegółów kopulacji i czynienia oczywistym, że ich herosi znajdują się po stronie pokoju, równości i dobra społecznego.

Poza tym wszystkim, Howard był urodzonym opowiadaczem, a to jest niejako *sine qua non* fantastycznego pisarstwa. Dostrzegając ten szczególny talent, można pominąć wiele wad autora – bez niego, wszystkie pozostałe zalety nic nie znaczą. Bez względu na ich niedociągnięcia, utwory Howarda będą długo jeszcze doceniane, za ich porywczność, wigor, gwałtowną akcję i bezpośredni sposób narracji. Za jego purpurowo–złoto–karminowy wszechświat, gdzie wszystko może się przytrafić – poza nudą oczywiście.

Poczynając od 1932, większość swego czasu poświęcił Howard opowieściom o Conanie. Całymi miesiącami potężny Cymmerianin stawał się jego obsesją, nie dopuszczając do niego jakiegokolwiek innej myśli. Potem zwrócił się w stronę powieści

Conan i Skarb Tranicosa

detektywistycznych i westernu. Te pierwsze zawierały wiele fantastycznych elementów, takich jak złowrogie kultury Orientu i afrykańscy ludzie–lamparty i nie odniosły dużego sukcesu mimo, że Howard kilka z nich sprzedał.

Lepiej radził sobie z westernem. Po tym, jak zaangażował Otisa Adelberta Kline'a jako swego agenta literackiego w 1933, popyt na jego opowieści o Dzikim Zachodzie znacznie się zwiększył. Sprzedał ponad dwadzieścia powieści z tego gatunku na trzy lata przed śmiercią. Większość z nich zdołał niewybredny humor pograniczny, zbliżający je do burleski.

Humor stał się nową specjalnością Howarda, którego dotychczasowe powieści były raczej poważne w tonie. Niektórzy krytycy uznają te właśnie westerny za jego najlepsze prace. Jego Bohaterowie są w nich równie potężni jak Conan, mniej nawet bystrzy i równie genialni w kwestii zabijania. Oto jak wyjaśniał on swoją sympatię do bohaterów–wielkich mięśniaków i prostaków:

*"Są znacznie prostszy. Wrzucasz ich do środka najgorszych kłopotów i nikt nie wymaga od ciebie, byś łamał sobie głowę wymyślając coraz to sprytniejsze sposoby, dzięki którym wydostaną się z opresji. Są zbyt głupi, by zrobić coś poza wyrąbaniem, wystrzelaniem lub przedarciem się na wolność."*⁴

W jednym ze swych listów, Howard daje do zrozumienia, że mógłby porzucić fantasy: *"Poważnie rozmyślałam nad poświęceniem całego mojego czasu i wysiłków pisaniu westernów i nad porzuceniem wszelkich innych form pracy..."*¹

Lata 1933–1936 były dla Howarda bardzo pracowite. Rynek jego westernów stale się rozwijał, a przez chwilę nawet zarabiał najwięcej ze wszystkich ludzi zamieszkujących Cross Plains. Oczywiście, działo się to w czasach Wielkiego Kryzysu, kiedy dwa i pół tysiąca dolarów rocznie wydawało się słusznym dochodem. Okoliczności nigdy nie były dla Howarda łatwe jako, że stawki za słowo trzymały się raczej nisko, czasopisma, na które liczył upadły, a choroba jego matki przysparzała mu sporych wydatków. Pani Howard przez lata podupadała na zdrowiu, a teraz nastąpiło jeszcze gwałtowniejsze załamanie. Niemniej jednak, niezależnie od trudności życiowych Howarda, problemy z pieniędzmi nigdy ich nie dotyczyły.

Conan i Skarb Tranicosa

Krąg jego korespondentów powiększał się, a on wymieniał liczne listy z Clarkiem Ashtonem Smithem i H.P. Lovecraftem. Spotykał się z Novalyne Price, nauczycielką przemawiania i elokwencji w lokalnym liceum. Ona również była uważana za z lekka ekscentryczną, gdyż w swym fachu dążyła do takiej perfekcji, że jej uczniowie nieustannie wygrywali coroczne konkursy Teksaskiej Ligi Międzyuniwersyteckiej Krasomówców. W lipcu 1935 roku, Howard czasowo zerwał swą znajomość z panną Price, pisząc gorzki list, w którym oskarżał ją o wyśmiewanie się z niego za jego plecami wraz z ich wspólnym znajomym.

Stan zdrowia pani Howard nieprzerwanie się pogarszał. 11 lipca 1936 zapadła w śpiączkę, w stanie beznadziejnym. Pielęgniarka powiedziała Howardowi, że matka nigdy nie odzyska przytomności. Howard wyszedł i wsiadł do samochodu. Około godziny 8:00 rano, ciągle w samochodzie, strzelił sobie w głowę ze swego pistoletu. Jego samobójstwo nie było jednak rezultatem jakiegoś nagłego impulsu, ponieważ w poprzednim tygodniu wysłał do agencji Kline'a rękopis z instrukcjami dotyczącymi zarządzania przychodami z jego książek w wypadku jego śmierci.

Samobójstwo Howarda rozeszło się falą zdumienia i żalu pośród kręgu jego przyjaciół i wielbicieli. Lovecraft napisał: *"Żeby tak oryginalny, prawdziwy artysta przeminął, podczas gdy setki nierzetelnych sprzedawczyków nieustannie płodzą bękarcie duchy i wampiry, statki kosmiczne i detektywów-okultystów, to zaiste jest kosmiczna ironia!"*⁴

Dr Isaac Howard odziedziczył majątek Howarda, a agencja Kline'a sprzedała jeszcze kilka opowieści Howarda po jego śmierci. W czasie następnej dekady, te i inne utwory pisarza pozostawały w większości obiektem podziwu jedynie wąskiego kręgu wielbicieli.

Pierwsze poważne próby ożywienia jego prozy miały miejsce w 1946 roku, kiedy to August Derleth opublikował zbiór jego opowiadań w tomie "Trupia czaszka i inni". Recenzent z "New York Times'a" był tak zaszokowany gwałtownością tekstów Howarda, że ograniczył się do ostrzegania przed schizofrenią drzemącą w opowieściach heroic fantasy, a nie rzekł nic o ich zawartości.

Conan i Skarb Tranicosa

Trzy lata później, drobny wydawca science-fiction zaczął wydawać powieści Howarda w seriach tomów oprawnych w tkaninę. W 1951 roku dowiedziałem się o kasecie z rękopisami Howarda, będącymi w posiadaniu agenta literackiego, który odziedziczył agencję Kline'a. Znalazłszy wśród nich trzy opowieści o Conanie, zredagowałem je dla wydawnictwa, a ponadto przepisałem cztery dotychczas nie publikowane opowiadania, zamieniając je w przygody Conana. Zaś szwedzki wielbiciel Howarda, Bjorn Nyberg, napisał nowelę pod tytułem "Powrót Conana", w tworzeniu której ja również brałem udział.

Właściwe ożywienie Howarda miało miejsce, gdy wydawnictwo Lancer Books zaczęło w 1966 wznawiać całość sagi o Conanie. Teksaszczyk, Glenn Lord, został agentem poszukującym rękopisów Howarda i wytropił całą masę jego papierów. Zawierały one sześć nie wydanych dotąd opowieści, jedną kompletną, a resztę w fazie szkicu lub luźnych notatek. Lin Carter i ja dokończyliśmy niepełne opowieści i napisaliśmy pastisze, by zapełnić luki w sadze. Jak skutecznie zdołaliśmy naśladować howardowski styl i ducha jego prozy, nie mnie to oceniać.

Publikacja Conana w wersji popularnej zapoczątkowała ogólne wznawianie jego utworów. W ciągu ostatnich pięciu lat, wydano przynajmniej dziewięć nie-Conanowskich powieści. Wiele opowieści Howarda, niektóre wcześniej publikowane, niektóre nie, zaczęło pojawiać się w czasopismach i antologiach. Magazyn "Bestsellers" wymieniał Howarda pośród ośmiu pisarzy fikcyjnej prozy, których książki osiągnęły w ciągu ostatnich trzydziestu lat sprzedaż ponad miliona egzemplarzy. Na liście towarzyszyli mu Asimov, Bradbury, Burroughs, Heinlein, Andre Norton, E.E. Smith i J.R.R. Tolkien.

Podaję, że tak nagłe ożywienie jest reakcją przeciwko pewnym trendom w literaturze. Od czasów drugiej wojny światowej awangardowi pisarze produkowali powieści naznaczone pewnymi cechami, które eksploatowali aż do wątpliwych ekstremów. Jedną z nich stanowi stosowanie eksperymentalnych technik narracji: niezdań, strumienia świadomości, dezorientacji chronologicznej, braku wątków, i tak dalej. Inną cechą tego typu jest graniczna wręcz subiektywność, albo egoistyczne samouniesienie pisarza. Jeszcze inną jest obsesyjne wplatanie współczesnych

Conan i Skarb Tranicosa

problemów społecznych i politycznych. Następną koncentracją na seksie, szczególnie w jego bardziej specyficznych formach. W końcu pojawia się jeszcze fascynacja antybohaterem. Tworzy się protagonistę, ale nie dającego się lubić awanturnika, jak wielu innych herosów, lecz nienawistnego kanalie, tłuca bez mózgu, mięśni, ani charakteru, który, zdaje się, wypełził spod jakiegoś płaskiego kamienia.

Wszystkie powyższe wynalazki znajdują swoje poczytne miejsce, ale do pewnych granic. Jako, że powstały równocześnie i natychmiast rozciągnięto je do wielu dziwacznych, ekstremalnych form, wielu czytelników z przyjemnością zwraca się ku prozie o całkiem przeciwnej konstrukcji. Inaczej mówiąc, do opowiadań o umiejętnionych herosach dokonujących bohaterskich czynów, z wartką i wciągającą akcją umieszczoną w romantycznej scenerii, opowiedzianych jasnym, rozsądnym i bezpośrednim językiem, wolnych od wzmianek o odrzuceniu przez środowisko rówieśnicze, wrogach dewiantów seksualnych i innych współczesnych trudności. Jak daleko sięgnie ta reakcja, nikt tego nie wie. Ale dopóki trwa, dopóty wydawcy Howarda będą ciągnąć zyski z jego powieści.

Podczas tego ożywienia, Howard spoczywał pod wielką, gładką płytą grobowca na cmentarzu w Brownwood, gdzie pochowani są również jego rodzice. Tablica pamiątkowa głosi: *"Jako byli mili i kochający za żywota swego, tako w godzinę śmierci swej nierozłączni będą"* (2 Samuel I, 23). Tyle, że rodzina Howardów nie była wcale tak harmonijna, jak to napisano. Bardziej trafnym epitafium dla Roberta E. Howarda byłby wstęp do jednej z jego książek, który napisał dr John D. Clark: *"A poza wszystkim, Howard był opowiadaczem."*

Przypisy:

¹. Z nie opublikowanego listu Roberta E. Howarda; za zgodą Glenna Lorda.

². Z "Amra", II, 39; copyright © 1966 by the Terminus, Owlswick, & Ft Mudge Electric Street Railway Gazette; za zgodą¹ G.H. Scithersa

Conan i Skarb Tranicosa

³. Z "The Howard Collector", 1, 4 p.7; 1, 5 p.9; copyright © 1964 by Glenn Lord; za zgod¹ Glenna Lorda

⁴. Z "Robert E. Howard: "Skull-Face and others", pp.xv,xxii, copyright © 1946 by August Derleth; za zgod¹ Augusta Derletha.